№ 40. Warszawa, dnia 18 (30) Września 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

POGADANKA.

Wszystko przemija... oto i lato już nas opuściło, a chmurna pani, gotowa co chwila oblać nas łez swych potokiem, zwana jesienią, objęła już swe panowanie. Rządy jej przecież, tylko dla ziemi będą okrutnemi: zniszczy bez litości ostatni kwiat żebrzący życia u słońca i rozwieje na zgubną tułaczkę każdy listek, co dziś drżący i usychający uśmiechał się niegdyś tak złudną zawsze dla nas... nadzieją. Ze zmianą weselnej barwy natury, śmiertelna bladość wkrótce się rozpostrze, a ludzie obojętni na jęki wichrów i kwiatów konania, będą się bawić, znajdując w ciepłych i światłych schronieniach to samo, co zostało odjętem naturze: wdzięk, wesołość, życie. Dla lepszego złudzenia obiecują nam wkrótce aż czterech słowików... szwedzkich; czyli przybycie kwartetu śpiewaczek, zapowiadających się tak miłą nazwą; nie ręczymy jednak, czy się nie znajdzie pomiędzy publicznością wielu takich „simplex servus Dei,“ co nad koncertowych tych ptaszków, nie przełożą choć wspomnienie leśnych szarych śpiewaków? Bo to, panie dobrodzieju, i nasłuchasz się, aż ci coś w sercu rozmięknie, i nic nie zapłacisz, a te zamorskie słowiki, Boże odpuść — wywodzi to trele uczone, ale i na kieszeń okropnie łapczywe... nieprzymierzając jak każdy zarząd teatralny na nową sztukę, co radby dać z niej sto z rzędu przedstawień i Autora zbyć jedynie stu pięknemi ukłonami. Nie przyznaję się wcale aby to było moje zdanie — Boże uchowaj! Cóżby na to powiedzieli amatorowie i znawcy tak liczni, którzy wyglądając jak duszy zbawienia przybycia tych artystycznych znakomitości, tęsknią za operą włoską. Niedługo też zapewne artystyczne tęsknoty owych subtelnie muzykalnych uszu zaspokojonemi będą — dla mniej zaś delikatnych już i Towarzystwo Muzyczne rozpoczęło szereg wieczorów a spodziewać się można, że teraźniejsza dyrekcya zdolna jest zadowolić *słuchające członki*, jak się wyraził jeden z nowiniarzy warszawskich, pragnący gwałtem uchodzić za nie zero literackie którem go wszyscy obdarzają.

Kiedyśmy już raz wpadli na ton muzykalny, dodajmyż na zakończenie naszej *uwertury*, że bez ogródki, chcielibyśmy przelać nasze współczucie w łaskawych czytelników dla koncertu na niezamożnych gimnazistów, urządzającego się staraniem p. Adama Müncheimera, a mającego być złożonym z kompozycyi wyłącznie słowiańskich mistrzów. Znajdziemy tam pieśni serbskie, czeskie, ruskie i t. p. Program obiecujący, cel piękny, utile dulci, czyż iść nie warto i poświęcić rubelka? A trzeba też przyznać z Polem, że „Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie.“ Cel szlachetny, myśl użyteczna, krzewią się i znajdują wszędy poparcie, a nierzadko i czyn dobry a ważny świadczy, że filantropija nie wygasła w bieżącem stuleciu, co bądź o niej mówią nihiliści. Oto wdowa po generale b. wojsk polskich, pani z Rutkowskich Sierakowska, zostawiła legat wynoszący 150 tysięcy rubli kapitału na zapomogi podupadłych gospodarzy wiejskich. Wzniosły to i głęboko pomyślany cel dobroczynności — w czasach gdy różnorodne klęski powszechnie przyprowadziły klęskę obywateli ziemskich do strat, a nierzadko do ruiny. Dźwignięcie gospodarstwa wiejskiego, jest wzmocnieniem podstaw krajowego dobrobytu. Cześć i pokój zacnej duszy. Cieszcie się Czytelniczki że była niewiastą, i

...czyńcie w swojem kółku co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

Zwrot ten mimowolny przez który gotowem popaść w niełaskę, przebaczcie mi. Niech obawa moja rozbroi wasze serca! Nie jestem moralistą ani satyrykiem, nie noszę czarnych okularów... mimo to muszę wam się poskarżyć na pewną malutką okoliczność. Oto wczoraj gdy powróciłem z pewnego imieninowego zebrania, mój frak zachował na ramieniu ślad taneczny w postaci mącznej plamy tak uporczywej, że mój Sancho-Pancha, naprożno dziś ranek cały szczotkował i wycierał miejsce pamiątkowe... Wełutiny to dzieło, owej kłamczyni wdzięku niewieściego. Natura w każdym przebiegu lat darzy powabem, który sztuka może przedrzeźniać ale nie naśladować. Dziewica z rumieńcem i puszkiem niewinności, zarówno jest piękną jak średnich lat niewiasta z myślącym wyrazem duszy, lub matrona ze zmarszczkami zasłużonej powagi. Zapomniano o tem, a ja straciłem frak i złudzenie.

Ale dość wymówek! Wkraczamy w dziedzinę, gdzie fałsz wraz z ziemską powłoką odpada od duszy, na cmentarz, nad mogiłę człowieka wielkiego serca i talentu. Wskazał ją pierwszy Kraszewski, mąż także z aureolą chwały, mogiłę obejmującą pośmiertne szczątki Romana Zmorskiego poety, domagając się składki na pomnik dla niego. Dajcie na ten cel choć grosz ewanielicznej wdowy, niechże na prochach naszych znakomitości legnie choć kamień grobowy uczący młode pokolenia, jak prawdziwą zasługę szanować należy.

Nasi artyści słyną po świecie i sztuka rozwija u nas najpiękniejsze kwiaty. Nawet zazdrosny Germanin uchylił głowę i kilku z naszych wyższość nad swoimi daje. Śmierć tylko zabiera z szeregu pracowników, coraz nowe ofiary. Szermentowski, którego śliczne krajobrazy pełne powietrza, życia i promieni, niejednokrotnie każdy na Wystawie miał sposobność oglądać, zmarł młodo żalem prawdziwym przejmując swych wielbicieli.

I literatura nasza poniosła stratę, ś. p. Paulin Stachurski, którego dramat „Marta Posadnica“ tak zaszczytną na konkursie Krakowskim uzyskał wzmiankę, wyniszczony piersiową chorobą skończył żywot pełen trudów i pracy. Gasną gwiazdki i gwiazdy, lecz błędny ognik życia, nieśmiertelności zaświeci potomności w nagrodę za pracę dla ogółu, za poświęcenie życia wyższym celom.

Nie chciałbym rozstać się z wami u bram cmentarnych i radbym potrącić o coś weselszego, choćby o sprzeczkę z Kronikarzem Tygodnika Illustrowanego, który podzielając zdanie p. L. R. swego korespondenta, powstaje na pisma peryodyczne, za powtarzanie wiadomości już poprzednio ogłoszonych. Nazywa je wprawdzie przedrukami, których bez podania źródła pochwalić nie można. Powtarzanie jednak wiadomości, zwłaszcza przez pisma dające codzienny obraz życia społecznego jest konieczne. Świadomość ich dla każdego gazeciarza jest przystępna, a to co się stało dziś może do jednego przyjść za godzinę, do drugiego za dobę, a do trzeciego wreszcie za dni kilka. Prawdziwa to burza w szklance wody, grudka ziemi domagająca się aż uczonego inżyniera do swego usunięcia. Słusznie jednak tenże sam Kronikarz skarcił pomysł założenia bióra stręczeń pracy dla kobiet. Mając już jedno podobne dla wszystkich, tak mężczyzn jak kobiet, pocóż ma drugie specyalizowaniem interesów zachodzić w drogę już działającemu i krzątającemu się starannie? Czyż na to aby rozdzieleniem czynności jedno i drugie upadło?

Obok tego w przyszłości zamierzonego współzawodnictwa, walczą obecnie pani Gałecka z panem Głodzińskim o lepszość swej metody nauki kroju krawieckiego, zapominając że uczniowie jedynymi tu być mogą dość trafnymi sędziami. Walczą pisma codzienne z piekarzami o dobroć wypieku i naddatki w niem z egzemplarzy pewnego robactwa; walczy wreszcie cyrk gimnastyków z drugim podobnym o palmę pierwszeństwa, ale cicho, bez rozgłośnej wrzawy w prasie peryodycznej warszawskiej.

Co do gimnastyków, mniejsza o nich, ale chleb i bułki nasze to zgroza aby w mieście jak Warszawa, nie było kęsa tak potrzebnego pokarmu przyrządzonego jak należy. Pomijając zagraniczne pieczywo, któremu podobnego dotąd u nas nie było jeszcze ani jednej bułki ani bochenka; pomijając nawet Kraków gród sławny staremi pamiątkami, starem zaspaniem i staremi zasadami zgrzybiałej starości, w pierwszej lepszej mieścinie chleb szczególnie o wiele i wypiekiem i smakiem przewyższa warszawski. Kiedyś rzuciliśmy myśl ustanowienia stypendyów dla uczniów warszawskich u piekarzy np. w Radzyminie... był to żart więc nie przyszedł do skutku, dziś jednak mimowoli wydziera się pytanie, czy nasi piekarze rzeczywiście nie znają swojej profesyi, czy taksa i waga wpływają szkodliwie na ich zajęcie? Ważna to sprawa, więcej na publiczną rozwagę zasługująca, jak mnóstwo innych tak skwapliwie rozpatrywanych przez naszych gazeciarskich nowiniarzy.

Dobre jest zamierzone Muzeum przemysłowe, tak wielce pożądane i pożyteczne około którego krzątają się ludzie dobrej woli: dobre są odczyty popularne jakie za staraniem szanownego p. A. Makowieckiego, toż samo Muzeum ma urządzić i w ruch wprowadzić; wyborną jest praca redakcyi Encyklopedyi rolniczej, świadczącej jasno że i u nas ludzi nauki nie brakuje; miłą jest wiadomość że Niemcy ocenili zasługi i talent zmarłego A. Fredry a powieści Kraszewskiego w tłomaczeniu przyswajają swojej literaturze, ale równie dobrą jest bułka, wybornym chleb i miłym ich wypiek, jeżeli wyglądają ponętnie, chrupią w rozłamaniu i ośrodkiem nie klajstrują zębów i podniebienia.

Nową tę garstkę grochu rzucam na ścianę, bez żadnej nadziei jej podniesienia. Już to taka dola nasza, że zawsze lubimy patrzyć w wyżyny, nad świat i po za światy. Panowie zatem piekarze Warszawscy, nie zważajcie na ten głos niesfornego żalu, lepcie swoje wyroby choćby zupełnie bez ognia, dodawajcie do nich całą menażeryą robaczego rodu, kawałki szkła i węgla jak się zdarzało, aż ktoś się wreszcie ulituje i sprowadzi cudzoziemca, aby was nauczył piekarskiego rozumu, a nas poznania co mieć możemy i powinniśmy.

Powiadają że milczenie jest bardzo wymowne, a kropki kończące myśl jeszcze wymowniejsze. Pragnąłem je naznaczyć i umilknąć... ale jakże choć słów kilka nie rzucić naszym teatrom letnim i ich artystom na pożegnanie, za pracę z takim mozołem i wytrwałością, dla uciechy Warszawy przez całe lato prowadzoną. A była ona mozolną, bardzo mozolną; występować prawie codziennie, rano odbywać próby a w dzień i w nocy uczyć się dorywkami ról nowych, to przyznać należy że jest trud nie lada! Przebyli go przecie, letnie zdobycze wystarczą na opędzenie zimy, a ta na wypoczynek po męce lata. Z wiosną ujrzymy was znowu, szczęść więc wam Boże! Warszawa z otwartemi rękami czeka waszego powrotu.

Pomiędzy różnemi nowościami, które dość często na scenach opuszczających nas teatrów zjawiły się, największem powodzeniem cieszyła się sztuka pod tytułem Emigracya, przez Anczyca napisana. Jest to obszerny obraz pięknej strony naszego ludu z takiem ciepłem i przejęciem przedstawiony, że scen tęsknoty do ojczystego gniazda nie można bez łez wysłuchać. Ciekawi jesteśmy wielce, czy reżyser komedyi i dramatu w naszym teatrze, ciągle odgrywający choć nie artysta, rolę szyny kutej młotem na kowadle, wystawieniem tej sztuki zajmie się. Byłby to nabytek wielce pożądany, o który wielkim głosem prosimy!

Drugą sztuką nie tej wprawdzie wartości, ale dowodzącą niemałego talentu autora, jest wystawiona p. t. Podróż po Warszawie, a napisana przez p. F. Schobera, artystę dramatycznego. Przeważną jej wartość stanowi myśl swojska, ożywiona w wielu miejscach dobrze schwyconemi typami warszawskiego bruku, żywością akcyi i dowcipem, co wszystko świadczy, że używając przysłowia będącego w związku z leżącą nam na sercu sprawą piekarską, z mąki autorskiej jaka się w głowie p. Szobera mieści, chleb z czasem mieć będziemy i to dobrze wypieczony. Mamy jednak jeden zarzut. Między typami przedstawionemi przez p. Szobera, wychodzi stara panna z pieskiem i kotkiem, i śpiewa, jako ją niegdyś kochano, a teraz zostały jej tylko te małe zwierzątka jako jedyne przywiązanie na świecie... Czy to śmieszne? Nie! to smutne, to najboleśniejsza nędza ludzkiej duszy, gdy samotna, uczucia swego nie ma już dać komu, bo nikt go nie pragnie, gdy za przyjaźń choćby zwierzęcia sercem się odpłaca. Kto wie jakie okoliczności to serce skazało na taką marnotę. Omylił się autor szukając tu komizmu—a publiczność umiała to odczuć, przyjmując ten pseudo-dowcip wymownem milczeniem.

DO DUCHA.

W odpowiedzi na wiersz p. Elizy R. pod tym samym tytułem.

Przed tobą wszystkie otworem drogi,
Naprzód, mój duchu skrzydlaty!
Spiesz w wiry życia, gdzie wiedzy progi,
Gdzie rajskie uczucia kwiaty.

Druzgocz zapory, zrywaj kajdany,
Co wsteczne duchy, złoczynne
Wzniosły w przybytków duchowych ściany,
Biorąc znamiona wciąż inne.

I nie zasypiaj własnem pragnieniem,
Pragnij dla drugich i siebie,
Bo żyć na ziemi ascetów chceniem,
To być w pustelni nie w niebie.

Tam płonie iskra Bożej mądrości,
Gdzie ruch, natura, stworzenie;
Duchu mój, zbudź się! rzuć sferę czczości.
Dusz zapoznanych kwilenie.

Szczęścia nie znajdziesz w śnie i zastoju,
Ni siły, prawdy, ni wiary,
Niedola zgnębi a w życia zdroju
Zniszczenia legną poczwary.

Romanija Kamieńska.
(Bielska).

GALLA PLACYDYA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

przez K. P.

(Dalszy ciąg).

SCENA V.

Też same i Rufius.

Giulia.

Rufius!...

Placydya (zdziwiona).

I wolny?

Rufius.

Tak jest, uwolniony;
Wszyscy więźniowie również wypuszczeni,
Posłom Cezara dzisiaj są zwróceni!

Placydya.

Cóż z sobą robisz?

Rufius.

Najprzód się pokłonić
Żądałem pani! Choć upoważniony
Wracać do Romy z innymi więźniami,
Ja do powrotu nie mogę się skłonić,
Póki ty pani nie powrócisz z nami.
Przychodzę zatem wierne służby moje
Tobie poświęcić...

Placydya.

Z serca ci dziękuję
Dzielny rycerzu, ofiarę przyjmuję,
Znam hart twej duszy, wierne serce twoje.
Zostań więc zatem, wraz z kilku innemi
Którzy mi wolność swoją poświęcili.
A teraz powiedz, jak tam postąpili
Posłowie z Rzymu? Jak Ataulf z niemi?
O niczem nie wiem.

Rufius.

Pokój podpisany,
Ale posłowie ciągle nalegają
O ciebie pani, i króla wzywają
By cię uwolnił, bo pokój zerwany
Przez to być może.

Placydya.

Smutne wiadomości!

Rufius.

Constantius gniewny, ciągle się odgraża,
Że gdy Ataulf jakieś prawa rości

Do ciebie pani, Cezara obraża.
I swą uporną, jednaką odmową,
Chce chyba układ rozpocząć na nowo.
Jednem więc słowem, nie wiem co to będzie!

Placydya.

Gdzież jest Ataulf? Szukałam go wszędzie,
Muszę go widzieć...

Rufius.

On wnet tu przybędzie.
Pójdę go wezwać i pożegnać braci
Którzy do Rzymu dzisiaj wyruszają.

Placydya.

Tylko Ataulf niech czasu nie traci,
Spiesznie przybywa — tego wymagają
Sprawy zbyt ważne.

Rufius.

Sam mu to przełożę.
(odchodzi).

Placydya.

Ty moja Giulio, do mieszkania mego
Spiesz się dowiedzieć, bo Ataulf może
Przyszedł i czeka...

Giulia.

Natychmiast tam będę...
(wychodzi).

SCENA VI.

Placydya (sama).

Co ja mam począć? Nie widzę żadnego
Środka ratunku — czy tylko przebędę
Tę jeszcze próbę i boleści nowe?
Czy sił nie zbraknie, odwagi mi stanie?
Tę Ataulfa stanowczą odmowę
Jak Cezar przyjmie? A moje błaganie
Czy też uwzględni? Wszak on moim bratem,
Chciażżeby życie zatruwać mi młode?
I własnej siostry stać się srogim katem,
A memu sercu wydzierać swobodę?...
Już się cieszyłam, że u kresu stoję
Długich boleści i cierpień bez miary,
A teraz, może straszniejsze ofiary
Ponosić przyjdzie, lecz już sił nie staje!
Okropna jakaś przejmuje mnie trwoga...
W przyszłość nie wierzę, i w oczach mi ciemno!...
Duszę mą dręczy obawa złowroga...
Straszno mi... Boże!... zmiłuj się nademną!...
(chodzi w zamyśleniu — wchodzi Ataulf).

SCENA VII.

Placydya—Ataulf.

Ataulf (na stronie).

O czem tak myśli?

Placydya (ujrzawszy go).

Królu mój i panie!

Ataulf.

Gallo Placydyo!... tyś królowa moja!
Moja najmilsza, moje ty kochanie!

Placydya.

Tak Ataulfie, jam dzisiaj już twoja,
Twoja do grobu!..

Ataulf.

Żadna ziemska siła
Z moich cię objęć wydrzeć już nie może!

Placydya.

O mój jedyny!

Ataulf.

Gdybyś moja miła,
Przed chwilą właśnie była usłyszała
Jak się domagał wysłaniec Cezara,
Bym wydał ciebie, byłabyś zadrżała!...

Placydya.

Constantius słyszę... O! straszno mi Boże!
Dziwna mię jakaś prześladuje mara.

Ataulf.

Ale to tylko daremna obawa.

Placydya.

Więc brat mój żąda...

Ataulf.

Abym wydał ciebie!
A jak nie zechcę, wojenna rozprawa
Twoje Placydyo ma rozstrzygnąć losy!

Placydya.

Z tobą mój drogi, lepiej mi niż w Niebie!
Jam tak szczęśliwa...

Ataulf.

Czyżby już Niebiosy
Tej chwili szczęścia zazdrościć nam miały?
Nasze nadzieje w marzenia rozchwiały?
Czyżby bez końca, srogie przeznaczenie,
Same nam tylko dawało cierpienie,
Bez chwili szczęścia?

Placydya.

Wiele przecierpiałam
W mem krótkiem życiu, zwątpień i boleści,
Mało dni jasnych i szczęśliwych miałam!
Teraz mój drogi, w mem sercu się mieści
Miłość dla ciebie wielka i prawdziwa!...
Miłość ta wszystko zwalczy i zwycięży!
Jam tą miłością byłabym szczęśliwa,
Lecz mi wciąż straszno i na sercu cięży
Dziwne przeczucie... ja się czegoś boję!...
Czyż te marzenia, te nadzieje moje,
Nie są snem tylko?...

Ataulf.

Uspokój się droga,
Czyż szczęście nasze zatruwać nam będzie
Jakiś niepokój, lub dziecinna trwoga,
I widmo nieszczęść mamyż widzieć wszędzie?
Wkrótce uświęcim nasze przywiązanie
Węzłem małżeństwa, i naszej miłości
Nikt nie rozerwie! a kiedy już stanie
Trwałe przymierze Gotów z Rzymianami,
Gwiazda szczęśliwa zabłyśnie nad nami,
I świecić będzie w blizkiej już przyszłości.

Placydya.

Lecz czy Honoryusz zechce, czy zezwoli
Na śluby nasze? On może układa
Inne projekta? On zapewne woli
Bym Constantiusa poślubiła może?

Ataulf.

Co? Constantiusa?... O! znajdzie się rada
W takim wypadku, mój oręż pomoże
Zmusić Cezara! Czy mało zrobiłem?
Przyznaj Placydyo. Broń moją złożyłem,
Kiedy zwycięztwa pewny byłem prawie.
Kres naznaczyłem dalszej mojej sławie!
I teraz walczyć idę za Cezara,
Zdobywać jemu nowe jeszcze kraje.
Wtenczas, gdy sama nawet Roma stara
Przedemną kornie gięła czoło swoje!
A za to wszystko, za te służby moje,
W sercu litości dla ciebie nie staje
U twego brata?... Potrafię odpłacić
Jego pogardę!...

Placydya.

Lecz działaj powoli
Mój Ataulfie, bo mógłbyś utracić
Owoc swej pracy, mnie to zbyt zaboli,
Gdybyś z mym bratem znów rozpoczął boje.

Ataulf.

Więc jakaż rada, co czynić nam trzeba?
Ja kocham Ciebie, o! kocham szalenie!
I miałbym przystać na warunek taki?
Miałbym pozwolić by zuchwalec jaki
Śmiał cię wydzierać? i z mojego Nieba
Strącał mi gwiazdę nadziei, marzenia,
I snów złoconych szczęśliwej przyszłości?
Ja Gallo, wszystko tobie poświęciłem,
Choć nie bez trudów i nie bez cierpienia,
Wszystko dla twojej oddałem miłości!
Plany potęgi, wielkości rzuciłem,
Przez poprzedników moich przekazane!
Spojrz na me dzieło — ono dokonane!
Zwycięzca dotąd, przed Rzymem się korzę,
A mężnych Gotów poddałem Rzymowi.
Niech mu hołdują i niech Cezarowi
Będą posłuszni. Lecz myślisz że może
Łatwo mi było z moimi Gotami
Rzecz tę dokonać? oni posądzają
Mnie, Ataulfa, że ich zaprzedałem!...
I mnie, czy słyszysz? Oni wyrzucają
Że się przymierzem połączywszy z wami,
Ja na śmierć pewną me ludy wydałem!
Lecz się nie wstrzymam, a to co się stało
Nie cofnę nigdy! choćby należało
Wszystko poświęcić! Lecz niech nie probują
Wydrzeć mi ciebie! ciebie moja droga!
Bo klnę się Gallo! przysięgam na Boga!
Że za tę krzywdę ciężko pożałują!

Placydya.

Mój Ataulfie, ja twoją ofiarę
Umiem ocenić, lecz cóż czynić trzeba,
By Cezarowi módz dochować wiarę,
I szczęście nasze, co gonim daremnie,
Utrwalić wreszcie?

Ataulf.

Z Italji wyjdziemy,
Na obcą ziemię, tam może już Nieba
Będą łaskawsze!...

Placydya.

To wszystko przezemnie!
Wszystkie boleści i męczarnie twoje,
O Ataulfie!...

Ataulf.

O moja jedyna!
My już na zawsze szczęśliwi będziemy;
Ja zdołam zwalczyć wszystkie przeciwności.
A gdy zwycięzko zakończymy boje,
Szczęścia już dla nas wybije godzina!
I odtąd Gallo, nikt naszej miłości
Już nie rozerwie.

Placydya.

Powiedz, czy odjechał
Poseł Cezara?

Ataulf.

Nie, lecz już zaniechał
Próżnych rokowań, i z moją odmową
Wraca do Rzymu; wkrótce zobaczymy
Jak rzeczy pójdą, czy może na nowo
Bój się rozpocznie, czy przymierze stanie
Już niewzruszone, wtedy wystąpimy
Także natychmiast, i wżdy nie zostanie
Żaden Wizygot na italskiej ziemi...
A teraz pójdę z wodzami mojemi

Odbyć naradę, w drogę się gotować
Każę mym wojskom, i będę probować
Niechętnych zjednać dla zamysłów moich.

Placydya.

Niech Ataulfie Bóg tobie pomaga!
Niechaj cię wspiera w przedsięwzięciach twoich!

Ataulf.

Dzięki ci droga, ale iść już muszę...

Placydya.

Więc do widzenia...

Ataulf.

Za chwilę tu wrócę.
(wychodzi).

SCENA VIII.

Placydya (sama).

Mimo mej woli — obawa się wzmaga
W mem biednem sercu—i nie dobrze tuszę
O całej sprawie.—Ataulf się łudzi.
(po chwili).
Lecz smutne myśli precz od siebie rzucę,
Raczej nadzieja niech w mem sercu budzi
Wesołe myśli, i w barwach złoconych
Niechaj buduje cały gmach przyszłości,
Który w mej duszy, we snach wymarzonych,
Widziałam zawsze, i mojej miłości
Niechaj otwiera cudnych rojeń koło!

SCENA IX.

Constantius—Placydya.

(Constantius wszedłszy od jakiegoś czasu — stał przy drzwiach i słuchał).

Constantius.

Wstrzymaj się Gallo! zwodnicza nadzieja
Włada twem sercem — ty marzysz wesoło,
A nad twą głową, znów groźna zawieja
Inną gotuje rzeczywistość tobie!

Placydya.

Zkądżeś tu przyszedł? czego chcesz?

Constantius.

Dla tego
Tutaj przyszedłem, żeby wstrzymać ciebie
Od hańby nowej, spodlenia strasznego!

Placydya.

Mylisz się bardzo, ja wstydu nie zrobię
Domowi memu, i nie zhańbię siebie!
Lecz jakim prawem śmiesz zuchwale rzucać
Podobną potwarz?

Constantius.

Bo twoje stosunki
Z tym królem Gotów, dobrze mi są znane,
I wiem dla czego dotąd nie chcesz wracać
Do brata twego. Dla czego warunki
Które podaję, stale odrzucane
Przez Ataulfa. W imię więc Cezara
Przychodzę Gallo, raz jeszcze probować
Ciebie nakłonić, bo będziesz żałować
Kroku swojego, i surowa kara
Ciebie dosięgnie...

Placydya.

Groźby się nie zlęknę!
Nikt mi nie wzbroni oddać serce, temu
Kogo wybrałam, i uczucia mego
Nigdy i za nic ja się nie wyrzeknę!

Constantius.

A więc przyznajesz Placydyo?

Placydya.

Żadnego
Nie mam powodu, ukrywać przed światem
Moich zamysłów. Królowi gockiemu
Oddam mą rękę...

Constantius (z goryczą).

Nie wiem jak to będzie...
Zresztą zobaczym...

Placydya.

I przed moim bratem
Wszystko co słyszysz, chciej wiernie powtórzyć.
Ataulf schylił przed Rzymem swe czoło,
Choć był zwycięzcą, i sam stanął w rzędzie
Obrońców Romy, którą pragnął zburzyć.
A teraz idzie, by dalej w około
Szerzyć potęgę i władzę Cezara!
Z jego pomocą, nasza Roma stara
Poskromi bunty co się w Galji szerzą,
I władzę swoją daleko posunie.
A lud co dotąd żył tylko grabieżą,
Mordem, pożogą — dziś nam będzie służyć!
Mój z Ataulfem związek, wraz usunie
Wiekową zawiść, i może nam wróżyć
Wielkie korzyści...

Constantius.

A zhańbienie domu
Cezarów, czemże da się wynagrodzić?
Zwycięztwem w Galji czy zbędziesz się sromu,
Jakiego jeszcze w Rzymie nie widziano?

Placydya.

Ty Constantiuszu, chciałbyś mi zagrodzić
Drogę do szczęścia, i w oczy rzucaną
Zniewagą, chciałbyś swego dopiąć celu.
Ale daremnie! ja znam plany twoje,
Próżna więc praca!...

Constantius (z gniewem).

Nie! próżną nie będzie!
Mam sprzymierzeńców, mam za sobą wielu
Co mi pomagą, i te plany moje
Będą spełnione, i ja ciebie wszędzie
Znajdę Placydyo! tylko pierwej chciałem
Ciebie zapytać, rozmówić się z tobą,
Tobie me serce ja otworzyć miałem,
Dać do wyboru — czy Gota dzikiego
Czy...

Placydya.

Siebie może?

Constantius.

Cóż w tem jest dziwnego?

Placydya.

Ja już nie mogę rozporządzać sobą.

Constantius.

A więc odmawiasz?

Placydya.

Odmawiam.

Constantius.

Niestety!
Ja chciałem tobie świetną przyszłość stworzyć,
I tobie Gallo moje serce złożyć
W ofierze. Lecz gdym dochodził do celu
Pragnień serdecznych, i marzeń wyśnionych,
Los nieprzyjazny rzucił Gallo ciebie
W ręce najezdzcy! Z więzów narzuconych
Ciebie ratując, uszczęśliwić siebie,
Tego jedynie ja Gallo pragnąłem!
Żadnej zręczności dotąd nie minąłem,
Wszystkom poświęcał, pracowałem stale,
Dla ciebie tylko! Tymczasem zuchwale
Ty mną pogardzasz! dla kogo? dla Gota!
Najezdzcy kraju, wroga Romy starej!
I zapominasz swoich Ojców wiary,
Swych obowiązków! Ta straszna sromota
Czyż cię nie wstydzi? Przysięgam na Boga!
Ty będziesz moją!

Placydya.

Nigdy!

Constantius.

Nieubłagana, ścigać ciebie będzie
Na każdym kroku! pomnij moje słowa!...
Ścigać was będę i wiecznie i wszędzie!
(z groźnym gestem).
A śmierć nań ściągnie twa Gallo odmowa!...

Koniec aktu III-go.

(d. c. n).

Korespondencya z Paryża.

Przez Autorkę Kroniki zagranicznej
w Biblijotece Warszawskiej.

(Dokończenie).

Między pierwszą a drugą częścią upłynął czas długi. Na świecie coraz to gorzej: wina Wotana sprowadzić może zgubę bogów. Erda oznajmiła synowi, że dopóty nie wróci dawny ład, dopóki dziewice Renu nie odbiorą zaklętego pierścienia. Olbrzym Tafnes posiada ten pierścień, zdobyć go tylko może bohater zrodzony ze krwi bogów. Tym bohaterem będzie Siegfried.

Następna część dramatu, ma tytuł *Walkyrye.* Rzecz rozpoczyna się w puszczy pod wielkim wiązem, którego konary tworzą pierwotną chatę germańską. Siegmunt syn Wotana, zabłąkany w lesie spotyka tu Sieglindę, siostrę swoją zaślubioną z Hundyngiem. Wotan przygotował to spotkanie, bo on serca ich wzajemną zapalił miłością. Z wyższych wyroków Siegmunt wydrze małżonkę Hundyngowi, zaślubi ją: synem ich będzie bohater Siegfried. Tu wątek cały plącze się w najdziwniejszy sposób. Co przede wszystkiem uderza, to barbarzyństwo owych germańskich mytów, które uplastycznione na ziemi, ohydniej przedstawiają się jeszcze niż w starożytnej epopei. Najwyższy z bogów, poduszcza sam do zbrodni, siła u niego zawsze idzie przed prawem; dla osiągnięcia celu nie przebiera w środkach, podżega jednych przeciwko drugim, burzy sumienia, zapuszcza niewód w mętną wodę, by tym obfitszy zyskać połów!

Inny akt pyszny wystawą, odbywa się na górze najeżonej skałami; o podnóże ich morskie wały rozbijają się z hukiem. To siedziba straszliwych Walkyryi. Myt owych dziewięciu cór Wotana, przypomina myt dziewięciu cór Jowiszowych, czuwających nad ziemią z wyżyn Olimpu; lecz jakże odmienne dwa myty? Podczas kiedy muzy słodzą dolę śmiertelnym zsyłając im boskie czary sztuki, Walkyrye wieczne toczą boje; miecz ich nigdy z krwi nie osycha. Po walce podejmują ciała bohaterów, niosą je do Walhalli, tam ożywionych sadzają przy biesiadniczym stole, podają im czasze pełne miodu.

Scena ukazuje te Walkyrye, cwałujące na rączych biegunach, przy huku piorunów i łunie błyskawic. Każda unosi bohatera, najpiękniejsza z nich Brunhilda, zdjęta litością nad dolą Sieglindy, trzyma ją omdlałą w objęciu. Na ten widok Wotan zapala się wściekłym gniewem. Walkyrya która uczuła

w sercu litość, niegodna przebywać w gronie siostr nieśmiertelnych! Próżno inne Walkyrye całują stopy ojca. Nieprzebłagany Wotan wygłasza straszny wyrok. Brunhilda uśpiona snem zaklętym, rozbudzi się na głos śmiertelnego człowieka, zostanie jego żoną, siędzie na ziemi, w jego progu prząść będzie kądziel wystawiona na pośmiewisko tłumów. Walkyrya pada omdlała, w obec tak upokarzającej kary.

Jakaż i tu różnica z mytem greckim. Penelopa wiecznie schylona po nad krosnami odbiera największe hołdy wszystkich, wytrwałość w pracy podnosi godność jej niewieścią. Oddajmy jednak każdemu co mu słusznie należy. Jeżeli potomkowie po mieczu starożytnych Germanów, przechowali w obyczajach myt Wotana, dla którego siła szła zawsze przed prawem, niewiasty za to dzisiejsze urwały nić dawnych tradycyi: nie gardzą one kądzielą ani krosnem; każda z nich przypomina raczej grecką Penelopę, niźli germańską Walkyrye.

Lecz wróćmy do dramatu. Wotan tknięty rozpaczą Brunhildy, czyni dla niej ustępstwo. Usypia ją pod drzewem, własną tarczę kładzie na jej piersi, a potem żelazną włócznią trzykroć uderza w skałę. Ogień wybucha i wieńcem płomienistym okrąża górę całą. Wielki tylko bohater, odważy się przekroczyć to gorejące koło.

W trzeciej części dramatu występuje bohater Siegfried. Przyszedł on na świat w ciemnej puszczy, gdzie olbrzym Fafnes przemieniony w smoka, czuwa w głębi pieczary nad skarbem i cudownym pierścieniem. Karzeł Mim wychował Siegfrieda, pełen nadziei—że młodzian gdy wyrośnie, stoczy walkę ze smokiem i wydrze mu zaklęty pierścień. W tym celu Mim kuje czarodziejski miecz; lata całe zbiegają mu na próżnej pracy. Daremnie! ten tylko miecz ukuje, czyje serce nie uderzyło trwogą! Siegfried dokonał dzieła; jasny miecz połyska mu już w ręku. Wnet uderzy godzina walki.

Bohater rozumie głos ptaków. Skrzydlaty przyjaciel daje mu rady, ostrzega o wszelkiem niebezpieczeństwie. Kiedy Sygfryd zabił smoka i zdobył skarby, ostrzeżony że Mim czyha na jego życie, topi miecz w jego sercu, poczem w ślady ptaka podąża ku skale, na której śpi piękna Brunhilda.

Wotan drży miotany wyrzutem i trwogą. Dzielny bohater może się stać potężniejszym od niego, może go przyprowadzić do zguby. Bada Erdę, chce uchylić tajemnicę przyszłości. Erda milczy zawzięcie. Zrozpaczony Wotan zastępuje drogę Siegfrydowi, chciałby wstrzymać go w pochodzie. Spotykają się... walczą. Siegfried zaklętym mieczem kruszy oszczep Wotana, rzuca się w płomieniste koło, rozbudza ze snu Walkyrye. Ta scena najwspanialsza ze wszystkich, zakończa trzecią część poematu.

Ostatnia część nosi tytuł: *Zmierzch bogów*. W pierwszej scenie trzy Normy przędą nić tajemniczą. W zawiły sposób opiewają przyszłe koleje nieśmiertelnych. Nić pląńcze się i zrywa, koniec bogów snać blizki.

W innej scenie Brunhilda, daje Siegfrydowi cudownego konia swego i oręż. Za to odbiera w darze zaklęty pierścień. Siegfried spieszy na dwór Guntera. Małżonka pozostaje w domu. Nagle przybiega do niej Waltranta jedna z siostr Walkyryi; na obliczu jej trwoga i rozpacz. W Walhalli straszny zamęt; Wotan nie skosztuje nawet jabłek z ogrodu Frei; trawi całe dnie milczący i ponury, przed chwilą wyszepnął z westchnieniem: „gdyby dziewice Renu odzyskały swój pierścień, klątwa straciłaby moc, bogowie byliby ocaleni!“ Wilbranta błaga siostrę o pierścień.

— Mamże — zawoła Brunhilda — oddać upominek małżonka, wieczne godło jego miłości? Nigdy! ten pierścień droższy mi nad świat! Niech przepadnie Walhalla! niech przepadną bogowie! nie oddam go nikomu!

Waltranda ucieka przerażona.

Sygfried tymczasem stał się ofiarą zdrady. Usnuł ją Hagen, syn Alberyka króla karłów. Pod wpływem zaklętego napoju, bohater przepomniał o Brunchildzie, prosi o rękę Gundruny, siostry króla Guntera. Nie dosyć na tem... przebrany za Guntera idzie do Brunhildy, wydziera jej pierścień, uprowadza żonę, oddaje ją na własność królowi. Oba małżeństwa odbywają się razem, przy poklasku tłumów. Brunhilda nie wie w jakie sidła wplątany Siegfried. Chciwa zemsty podżega Hagena przeciw niemu. Hagen przysięga spełnić jej wolę; on zabije Siegfrieda, on posiędzie cudowny pierścień.

W innej scenie król z dworem pospiesza na łowy do lasu. Ren wije się srebrną wstęgą, wśród zielonej murawy. Wodne dziewice występują z głębi fal.

— Siegfriedzie! Siegfriedzie! oddaj nam pierścień, wołają spostrzegłszy bohatera.

Siegfried zniewolony błaganiem, zsuwa pierścień gotów rzucić go w wody Renu!

— Dobrze czynisz! wołają dziewice, przeklęty kto go nosi! niebezpieczeństwo kroczy za nim!

Słyszy to Siegfried, miałżeby uczuć trwogę? Niebezpieczeństwo budzi w nim nowy zapał. Chowa pierścień; dziewice odbiegają.

Łowcy powracają do domu. Wówczas to podstępny Hagen godzi Siegfrieda w plecy. Miejsce to nieobjęte zaklęciem, równie jak pięta Achilesa. Siegfried pada, słudzy przynoszą do zamku martwe ciało, przy połysku pochodni. Hagen usiłuje wydrzeć pierścień, ręka trupa mocno go trzyma.

Brunhilda zrozumiała wszystko, czuje że był niewinny, że był tylko przyczyną czarnych matactw. W ostatniej pieśni nadzwyczaj dramatycznej, wyraża całą boleść. „Precz ze złotem i jego potęgą! miłość tylko zdoła zapełnić serce, tak w doli jak w niedoli!“

I chwyta pochodnię, zapala stos na którym leży ciało bohatera, słup ognisty wybucha w górę. Śmiała Walkyrya dosiada bieguna i rzuca się w płomienie!

I oto Ren wybiega z łożyska — zalewa scenę całą. Wodne dziewice odbierają cudowny pierścień. W tejże chwili płomienie pożerają Walhallę. Skończyła się moc bogów.

Taka jest treść czterodniowego widowiska, na które czekał długo świat artystyczny.

Wagnerzyści w najwyższem uniesieniu, głoszą tryumfy mistrza a zarazem nowe tryumfy Niemiec. Według nich sztuka francuzka i włoska runęły jak owa Walhalla starych bogów. Pod gruzami ich zagrzebane wszystkie genijusze, którym świat hołdował przez wieki. Dziewice Renu zaklęte potęgą czarodzieja, same wręczyły mu cudowny pierścień. Nowy Siegfried wystąpił do zapasu; zaklętym mieczem wnet postrąca łby smokom.

Tak mówią wagnerzyści. Inne głosy występują z obozu przeciwników. Tu nie jeden Hagen, nienawistnem okiem patrzy na bluszcze tryumfatora i miecz ostrzy w milczeniu.

Są jednak wśród krytyków francuzkich, szczerzy miłośnicy sztuki, wyżsi nad uprzedzenia koteryjne, gotowi przyklasnąć wszelkiemu postępowi, bez względu gdzie on się objawia. Ci przyznają mistrzowi niemieckiemu, prawdziwie twórcze pomysły w kompozycyi *Pierścienia Niebelungów*. Jeden z nich przyrównywa to dzieło do wspaniałej katedry gotyckiej, w której i całość prawdziwie majestatyczna i szczegóły misternie wyrzeźbione. Bogata wystawa—harmonijnie odpowiada kompozycyi, lecz jej nie przeciąża zbytkiem efektów, usunięcie zaś orkiestry z przed oczu widza sprawia jak mówią — cudny urok.

Sądzimy że ta zmiana co do pomieszczenia orkiestry przyjętą będzie wkrótce i w teatrach francuzkich, zwłaszcza że na pomysł ten, wpadł Grutry ośmdziesiąt lat temu. Nie myślimy jednak aby Pierścień Niebelungów, mimo wielkich swych zalet, pojawił się na scenie paryzkiej. Utwór ten czysto narodowy, przez Niemców tylko może być jak należy zrozumianym i ocenionym.



MATKA MARGRABINY

HUMORESKA

przez Edmunda About

spolszczyła ELIZA S.

(Ciąg dalszy).

Powóz potoczył się z przerażającą szybkością, konie naglone pędziły co sił, Celina nie mogła zdać sobie sprawy co to wszystko znaczy. Pani Benoit w duchu tryumfowała, i pragnąc ażeby córka nie przeszkadzała jej w rozkosznych marzeniach, w poczuciu radości wzdymającej jej serce, skarżyła się na migrenę, na strudzenie, na niewczas, nakoniec zasunęła się w głąb powozu i zamknęła oczy. Zasnąć jednak nie chciała i nie mogła. Pole walki zostało przy niej, i wiozła sobie do Paryża talizman rozbrajający przedmieście: prawdziwą margrabinę.

Biedna porwana margrabina, nie zważając na chłód nocny, wychylała się nieustannie z powozu, przysłuchując się podmuchom wiatru, i usiłując przeniknąć ciemności załzawionem okiem. Na popasie w Moyenvic, pani Benoit zrzuciła maskę, i rzekła:

— Nie wytrzeszczaj na próżno oczów wyglądając męża: nie zobaczysz go aż na przedmieściu St. Germain.

Celina zrozumiała zdradę, lecz tak bardzo nawykła bać się matki, że za całą odpowiedź zalała się rzewnemi łzami.

— Twój mężulko, mówiła pani Benoit, to kozieł uparty, odmawiał stanowczo wprowadzenia cię w towarzystwo odpowiednie, dla twego przeto własnego dobra pokonałam go przymusem. Przybiegnie za nami bez zwłoki, jeżeli ciebie kocha, nie masz czego płakać niby Agara na pustyni. Jestem twoją matką, i wiem co robię: wiozę cię do Paryża, wybawiam cię z Arlanżu, z wieśniaczki zmieniam ciebie w wielką panią.

— O biedne moje szczęście! wyjąkała zrozpaczona Celina łkając i załamując rączki.

— Jakaż ci krzywda? Pokochałaś go, zaślubiłaś, jesteś mężatką, czegóż ci więcej potrzeba?

Przez całą drogę z Arlanżu do Paryża, Celina nie przestała wyglądać Gastona. Nie mogła uwierzyć, aby on nie gonił za nią; skoro spostrzegła jaki powóz nadjeżdżający wśród obłoków kurzu, albo dosłyszała tentent pędzącego kłusem wierzchowca, serce jej gwałtownie uderzało na myśl, że to Gaston przybywa. Ta podróż, która matkę wprawiała w uniesienia radosne, dla niej była nieprzerwaną koleją nadziei i zawodów. Paryż bez ukochanego męża wydawał się jej ogromną pustynią.

Nazajutrz po przybyciu, otwierając okno swoje spostrzegła w dziedzińcu Jakóbka. Zbiegła na dół lotem błyskawicy, była pewną że Gaston przyjechał. Dowiedziała się że choć go jeszcze nie ma, przybędzie jednak niebawem. Można się domyśleć że zwiastun

tej wesołej nowiny został dobrze przyjętym. Pani Benoit spoczywała jeszcze snem błogosławionych, a tymczasem Celina kazała sobie opowiedzieć najdokładniej całą wyprawę do Dieuze.

— Jak on mnie kocha! pomyślała rozrzewniona.

— Na koniec tej historyi, dodał Jakóbek, powiem panience że pan margrabia został mi dłużny 8 franków.

— Oto masz dwadzieścia, mój dobry Jakóbku.

— Bardzo dziękuję panience. Nie jestem ja zupełnie pewny tego co mówię, ale tak mi się zdaje. Bo to tak było: obrachowałem sobie że mi się należy 25 franków, a pan mi dał 20 tylko, to 5 nie dodał. A potem drugi raz, znowu mi dał tylko 20 franków, to znowu pięć nie dodał. A że 5 i 5 to dziesięć... Ale może ja się mylę, i jeżeli panienka rozkaże abym je zwrócił...

Celina tej gadaniny słuchała nie słysząc.

— Nie, nie, rzekła. Schowaj to sobie, mój poczciwy chłopcze, i idź odpocznij z drogi.

Pobiegła do ogrodu, i zaczęła rwać kwiaty całemi snopami, dla ustrojenia pokoju na przyjazd Gastona.

Zeszedł dzień, po nim drugi, potem tydzień cały, Gastona nie było, ani wieści o nim, pani Benoit udawała spokojną, ale skrycie wrzała gniewem. Celina nie śmiała oddawać się żalowi w obecności matki, i obiedwie wynadgradzały ten przymus, matka złorzecząc na stronie, córka płacząc po nocach. Od poranku do nocy, pani Benoit woziła córkę w powozie z herbami, lecz bez lokai i bez pudru, bo sławna kareta jeszcze nie była gotowa. Gdzie tylko świat wielki odbywa spacery, wszędzie tam uczęszczała pani Benoit, pragnąc wyrobić w córce upodobanie do zabaw i okazałości, jakie w Paryżu na każdym kroku spotkać można. Zmuszała ją przesiadywać długie godziny na koncertach i w teatrach, ale Celina nie zasmakowała w żadnej z tych przyjemności, nie pragnęła ani widzieć, ani być widzianą. Gdziekolwiek bądź zawiozła ją matka, jedno tylko miała życzenie: wracać do domu; jedną nadzieję: zastać Gastona.

Pani Benoit odgadła prędzej niż Celina, że margrabia obrażony na prawdę, a że nie brakło jej pomysłów i stanowczości, wprędce powzięła nowe postanowienie.

— Tak więc mój pan zięć obchodzi się bez nas, rzekła do siebie, sprobujmy i my obejść się bez niego. Czego mi dawniej nie dostawało? Imienia i herbów, nic więcej, dziś nic nam już nie brakuje. Mamy pyszną tarczę herbową, nazwisko pięknie brzmiące, jesteśmy rzeczywistą margrabiną, powinni wszyscy przyjmować nas... Lecz jak rozpocząć pierwszy wstęp? Oto główna rzecz! Celina przecie nie może tak pójść sama i mówić nieznajomym: „mam prawo bywać u was, jestem margrabiną d'Outreville"... Ach! dobra myśl! udam się do moich kochanych dłużników. Inaczej mnie teraz przyjmować będą niż dawniej: można z góry patrzyć na córkę kramarza, ale matce margrabiny należą się względy.

Pojechała najpierwej do barona de Subressac. Celiny nie wzięła z sobą ani do niego ani do innych. Nie życzyła sobie dawać jej poznać ile to kosztuje wstęp w wysokie progi.

— Ach, kochany panie baronie, zawołała wchodząc, jakiemuż to przeklętemu waryatowi oddaliśmy moją córkę!

Baron brwi zmarszczył.

— Pani, odpowiedział porywczo, ten waryat jak go nazywasz, który twoją córkę swojem nazwiskiem zaszczycił, jestto najszlachetniejszy człowiek jakiego znałem w życiu!...

— Niestety, panie baronie, gdybyś pan wiedział co on zrobił. Zaledwie tydzień dziś po ślubie, a już opuścił żonę!

Baron zażądał wyjaśnienia, pani Benoit, okraszając swoje postępowanie o ile się dało, opowiedziała znane już nam szczegóły. Słuchając jej, baron powoli rozpogadzał oblicze: gdy skończyła, wziął obie jej ręce i rzekł śmiejąc się:

— Tak, tak, moja śliczna, margrabia wielce zawinił: opuścił żonę zupełnie w taki sposób jak król Menelaus.

— Panie baronie, Menelaus puścił się w pogoń za żoną, i ja trwam przy mojem zdaniu, że mąż który żonie pozwala odjechać a niespieszy za nią, daje poznać że ją opuścił.

— Na szczęście, okoliczności tu mniej groźne, gdyż w tej grze nie ma Parysa. Odwieź pan i córkę do męża, tak ci nakazuje prawo i sumienie. Co Bóg złączył, nikt rozłączać nie powinien, oni kochają się jak para gołąbków; szczęście spóźnione tem milszem się im wyda. Pani możesz i na wsi prowadzić życie wesołe i przyjemne; przecież i tam znaleść można stosowne towarzystwo. Będziesz cieszyć się widokiem wzajemnej miłości i szczęścia twych dzieci, a za rok napiszesz mi jak się im powodzi.

Pani Elijanna zrobiła znak głową, który wyraźnie zdawał się mówić:

— Nic z tego nie będzie!

— W takim razie, cóż pani zamyślasz?

— Czy mogę polegać na pańskiej przyjaźni?

— A czyliż nie dałem już dowodu?

— Nie zapomnę o tem nigdy. Jeżeli nie straciłam względów i życzliwości pana, mogę się na zawsze obejść bez margrabiego.

— Czy sądzisz pani że i młodziutka margrabina podzieli twoje zdanie?

— Nie o nią teraz rzecz idzie. Podług wszelkiej słuszności, rodzice przed dziećmi pierwszeństwo mieć powinni. Cóżby ja domagam się przez tyle lat od Boga i od ludzi? wstępu do przedmieścia. Czego potrzeba abym tam weszła? wprowadzić pierwej Celinę. Owoż, Celina ma wszelkie możliwe prawa; nic jej nie braknie tylko przewodnika, pan baron mógłbyś ją przedstawić, czy mi odmówisz tej łaski?

— Jak najzupełniej! Dla tego najprzód, że zaszczyt przedstawienia młodej margrabiny, stosowny jest dla baronowej a nie dla barona. Powtóre, że nie chciałbym przyczyniać się do opóźnienia szczęścia tych dzieci, a na ostatek, że cała moja gotowość na usługi pani, na nic by się nie przydała. Margrabina d'Outreville bez zaprzeczenia ma prawo być przyjmowaną wszędzie, ale tylko jako małżonka Gastona. Pod tarczą swego nazwiska może wejść w najpierwsze domy, ale jedynie w towarzystwie męża. Rozważ pani sama, co świat powie na to jeżeli ja będę córkę twoją przedstawiał i mówił: „panowie i panie, oto jest żona margrabiego d'Outreville, która z mężem żyć nie chce, ale pragnie zawiązać z wami stosunki i prowadzić dom otwarty". Wyśmianoby mnie, panią, i niewinną margrabinę. Kochana pani, przemawia do ciebie moje siedmdziesiąt-letnie doświadczenie, bardzo to źle wygląda, kiedy młoda kobieta bywa w świecie bez męża, i matka, która ją tak samą na oczy ludzkie wystawia, wcale też pochwał nie zyskuje. Jeżeli pani koniecznie o to idzie by trącać łokciem o księżne i hrabiny, jedyny na to sposób: wrócić do domu, słodyczą i dobrocią ująć sobie zięcia i uprosić go aby z wami przyjechał do Paryża. Postępek pani, bardzo niewłaściwy, rozjątrzył go słusznie, i jeżeli pani chcesz tutaj go czekać, ja co go znam dawniej mogę cię zapewnić że będziesz czekała długo. Nie bądź pani dumniejszą od Mahometa i wróć z córką do Arlanżu.

Rady barona były dobre, lecz nie podobały się pani Benoit. Odwiedziła po kolei kilku jeszcze dłużników: wszędzie wiedziano już o zamęściu Celiny, ale nikt nie odezwał się z chęcią poznania jej. Mówiono wiele o margrabi, chwalono jego szlachetny charakter, dowcip, naukę, żałowano że się rzadko daje widzieć, pytano z lekka czy na zimę przyjedzie do Paryża. Pani Benoit naprożno się starała jak najzręczniej wsunąć swoje żądanie: spotykała wszędzie upartą niedomyślność. Nie zraziła się jednak, nie upadła na duchu, postanowiła dalej i silniej nacierać. Zostawała jej jeszcze jedna cięciwa w jej łuku, lecz tej zamierzyła użyć dopiero w ostateczności. Tą była hrabina de Malésy, u niej największy dług miała, na nią zatem najwięcej mogła rachować. Hrabina Malésy była to milutka staruszka lat około sześćdziesięciu, kokietka, łakotnisia, szulerka namiętna, i zapamiętale znałogowana do wyrzucania pieniędzy w błoto. Zresztą nic więcej zarzucić jej nie było można. Pani Benoit słusznie rozliczyła, że osoba mająca tyle szpar w swoim puklerzu, nie powinna być nieprzystępną, i że nie będzie zbyt trudno znaleść drogę do jej serca. Już naprzód cieszyła się zdumieniem barona, gdy idąc pod rękę z panią Malésy, spotka się z nim w jakim arystokratycznym salonie.

Podczas gdy pani Benoit odbywała tyle wizyt bezpożytecznych, młodziutka margrabina, nie radząc się nikogo, zamknęła się w swoim pokoju i napisała do męża list następujący:

„Gastonie, Gastonie, co tam robisz? Czemu nie przyjeżdżasz? Przecież obiecałeś przybyć do nas! Jak ty mogłeś wytrwać dziesięć długich dni beze mnie? Gdy byliśmy razem w naszym miłym Arlanżu, trudno ci było rozstać się ze mną na jedną godzinę. O Boże! jakież tu w Paryżu godziny bez końca! Mama co moment narzeka na ciebie przede mną, ale na samą wzmiankę o tobie ogarnia mnie takie wzruszenie, że nic już ani słyszę ani rozumiem. Mama zapewnia że się mnie wyrzekłeś zupełnie, pojmujesz iż wierzyć temu nie mogę. Cóż ja ci zawiniłam abyś miał zrywać ze mną na zawsze? Łatwiej uwierzyłabym że słońce przestało świecić, niż że tak odrazu kochać przestałeś. Od czasu jak cię utraciłam, jestem jakby nieprzytomna i bez życia; przychodzą na mnie momenta, w których zdaje mi się że nie jestem twoją żoną, że cały ten uroczysty obrządek w kościele, ten bal na którym byliśmy tak szczęśliwi, wszystko to było tylko snem rozkosznym, niestety, zbyt prędko przerwanym. W Paryżu to jedynie widziałam dotąd, że ciebie tu nie ma. Co wieczór twoje imię wplata mi się w pacierz, co rano, oglądam się czy ciebie nie zobaczę. Czy to być może byś ty o mnie zapomniał, kiedy tak nieustannie myślę o tobie? Może masz do mnie żal żem cię tak nagle opuściła bez pożegnania, ale nie ja to odjechałam, to Mama porwała mnie! Byłam pewną że masz jechać zaraz za nami w starym podróżnym powozie w który zabierasz nasze rzeczy; Mama tak mnie zapewniła, a nawet i Piotr i Julija. Płakałam gorzko. wierz mi, gdy się dowiedziałam że tak bez litości oszukano mnie. Od tego czasu, chcę płakać bez przerwy, i dniem i nocą, ale wstrzymuję się, połykam łzy, raz dla tego by Mama nie łajała, a potem abyś nie zastał mnie z obrzękłemi oczami. Nie gniewaj się że prędzej nie pisałam, ale oznajmiłeś przez Jakóbka że za parę dni przyjedziesz, czekając cię więc co chwila, pocóż miałam pisać? O! przyjedź mój Gastonie, przyjedź, porzuć fabrykę, bo nie ma ważnych spraw na świecie pokąd jesteśmy rozłączeni. Pogodzę ciebie z Mamą, uproszę ją aby nie wymagała nic takiego co się tobie nie podoba. Jeżeli pobyt w Paryżu tak dla ciebie niemiły jak dla mnie, bądź spokojny, nie długo tu posiedziemy. Ale jeżeli nie przyjedziesz cóż się ze mną stanie? Co chcesz ażebym zrobiła z sobą? Nie trudno mi wprawdzie wymknąć się z domu w taki dzień kiedy Mama wyjeżdża beze mnie, ależ nie mogę puszczać się w tak daleką podróż sama jedna! Jednakże, jeżeli ty tego

zażądasz, sama pojadę, przybiorę sobie Jakóbka za opiekuna. Ale jakiś głos tajemny zapewnia mnie że nie dasz się długo prosić; pomyśl tylko o napełnionych łzami oczach które cię wyglądają bez przestanku, i o biednych rączkach które nawykły być w twoich, a teraz samotne wyciągają się do ciebie.“

Pani Benoit wróciła z wizyt kiedy już Jakóbek poszedł z listem na pocztę.

— Nie nudziłaś się tu sama, Celinko? spytała troskliwa matka.

— Nie, mamo, odrzekła margrabina.

Rozdział IV.

Trzy dni następne były dniami oczekiwania w pałacu Outreville. Celina czekała Gastona, od chwili wysłania listu, pani Benoit czekała gości, pewna że dostojni dłużnicy wywzajemnią się za jej wizyty. Obie więc nie wydalały się z domu, córka siedziała przy oknie w swoim pokoju, ze wzrokiem utkwionym w bramę wjazdową; matka przechadzała się w ogrodzie po wysadzanej kasztanami alei, i z oczami w przyszłość zapatrzonemi, rachowała na swój przepych i wystawę dla pozyskania przyjaciół, a chełpiła się w myśli wrażeniem jakie sprawi na gościach widok jej salonów.

— Trzebaby już nieszczęścia, mówiła sobie, gdyby nas nie zaproszono na herbatę przynajmniej, skoro zobaczą że i u siebie możemy dobrze przyjąć.

Salon, przybrany w najpiękniejsze kwiaty, wyglądał świątecznie. Pani domu siedziała wystrojona od rana do wieczora, jak oficer zawsze w mundur zapięty, a ponieważ służba nie była jeszcze w komplecie, Jakóbek, przeistoczony za pomocą liberyi, odbywał w sieni nowicyat lokajskiej służby.

Niestety! wszystkie te zachody i nadzieje spełzły na niczem, i żaden z dłużników płci obojej nie pokazał się u pani Benoit. Było to skutkiem nawyknienia i ci panowie i panie od dawnego czasu jakby sprzysięgli się, nie płacić jej pieniędzmi, ani grzecznością, i nie oddawać żadnego długu, nawet wizyt.

Ku końcowi trzeciego dnia, pani Benoit stała przy oknie ukryta za firanką, i smutnie rozmyślała nad niewdzięcznością ludzką, gdy nagle piękny powozik wtoczył się pędem w podwórze i zatrzymał przed gankiem. Pani Elijannie serce podskoczyło radośnie: pierwszy to raz inny powóz, nie jej własny, zaskrzypiał na żwirze jej dziedzińca. Z powozu wysiadł mężczyzna średnich lat, nie był to żaden z dłużników; był to ktoś nierównie pożądańszy hrabia de Preux we własnej osobie. Zniknął pod przysionkiem, a pani Benoit z szybkością piorunu orzuciła okiem swój salon, potem swoje ubranie, i uszykowała w myśli pierwsze odezwanie się do gościa. Lecz minuty ubiegały, a hrabia nie pokazywał się; pani Benoit przeklinała Jakóbka, który widocznie zatrzymywał go w przedpokoju. Niecierpliwość paliła ją; chętnie pobiegłaby na przeciw dostojnego gościa, gdyby się nie obawiała przekroczeniem zwyczajów światowych zaszkodzić sobie w jego opinji.

Nakoniec podniosła się portyera, i wszedł... Jakóbek.

— Proszę! krzyknęła pani ledwie dysząc.

— Kogo? proszę pani — spytał Jakóbek rozwlekłym tonem lotaryngskich wieśniaków.

— Ależ hrabiego, gapiu.

— Aha! więc to hrabia? Oto już na dworze.

Pani Benoit poskoczyła do okna jak sarna, i ujrzała z przerażeniem, że hrabia de Preux wsiada do powozu nie oglądając się, i daje rozkaz woźnicy. Zwróciła się do Jakóbka i tupnęła nogą.

— Biegnij za nim! krzyknęła, nie, nie, stój! niedołęgo, to napróżno!... I cóż on ci mówił?

— Proszę pani, to bardzo grzeczny człowiek, ani trochę nie hardy, widać ze wsi przyjechał, bo myślał że pan margrabia jest tutaj, a ja powiedziałem że nie ma.

— Gawronie, czemuż nie powiedziałeś że pani w domu?

— Mówiłem, proszę pani, ale on tak coś udał jakoby nie słyszał.

— To trzeba było powtórzyć drugi raz, i trzeci!

— Aha! a byłże czas? On zaraz wypytywać zaczął kiedy pan przyjedzie.

— A cóżeś na to odpowiedział?

— A nie, opowiedziałem tylko jakiego tęgiego psikusa pani i panienka wypłatały panu margrabiemu.

— Nędzniku! precz mi z oczów! nie masz u mnie służby.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Na co złożyć się mógłby hołd dla wielkiego genijuszu, głęboka cześć dla wiekopomnych zasług literackich i bolesny żal ogółu — to wszystko łączyło się w wspaniałej harmonji na pogrzebie ś. p. Aleksandra hr. Fredry, którego zwłoki z kościoła do rogatek lwowskich odprowadzały nietylko tysiące ludności stołecznej, lecz kraj cały przez umyślnie wysłane deputacye.

Po stracie tego genialnego pisarza nie godzi się nawet stawiać pytania: kto go nam zastąpi? Nikt, i jeszcze raz nikt, bo luki po genijuszach wypełniają dopiero wieki, całe pokolenia. Może kiedyś jaki pisarz dramatyczny zbierze tyle hołdów i oklasków, jak Fredro, może go nawet pod tym względem prześcignie, bo dziś łatwiej o grzmiące oklaski i wywoływanie autora jak przed laty, gdy nie było jeszcze ani teatru polskiego ani publiczności teatralnej. Ale choćby tak było, ów przyszły bohater sceny nie dorówna Fredrze w znaczeniu literackiem, bo Fredro był nie tylko genijalnym pisarzem lecz także twórcą naszej literatury dramatycznej.

Po ś. p. Fredrze miało zostać w spuściźnie kilka nieznanych nikomu utworów dramatycznych. Z tego, że zmarły trzymał je w ukryciu, nie można wnosić, iż lekceważył ich wartość. Ś. p. Fredro nawiedzony tak długą a ciężką niemocą, zobojętniał na wszystko, więc mógł nie spieszyć się wcale nawet z ogłoszeniem arcydzieła równego Ślubom panieńskim lub Zemście. O tę spuściznę możemy być zupełnie spokojni, bo spoczywa ona w najlepszych rękach, które potrafią zrobić najwłaściwszy użytek. Któż bowiem jest do tego więcej powołanym od syna zmarłego, który z tak wiele rokującem powodzeniem wstąpił w ślady ojca i choć mu nie dorównał, zawsze jest dziś pierwszorzędną znakomitością w współczesnym świecie literackim.

Równocześnie z ś. p. Fredrą umarł tutaj współdyrektor teatru ś. p. Jan Tański w 34 roku życia, po kilkodniowej zaledwie chorobie. Jako były redaktor Kaliszanina, był on Warszawie lepiej znany niż Lwowowi, w którym zamieszkał dopiero od dwóch lat. Zmarły przetłomaczył kilka francuzkich i włoskich utworów dramatycznych, zanim oddał się kierownictwu sceny lwowskiej, dla której zdziałał wiele dobrego szczególnie pod względem administracyjnym i finansowym. Objął bowiem przedsiębierstwo wspólnie z Janem Dobrzańskim w najtrudniejszych stosunkach i z mnóstwem lichwiarskich długów a po jednym roku pokonał trudności i podniósł całe przedsiębierstwo. Śmierć jego wywołała żal powszechny, o czem świadczył liczny udział publiczności w obchodzie pogrzebowym.

Życie publiczne i towarzyskie w naszych miastach prowincyonalnych już od kilku lat rozwija się i podnosi w stosunku bardzo pomyślnym a jeżeliby miarą miał być stan, jaki istniał jeszcze przed laty kilkunastu, to rozwój ten ma wszelkie prawo do nazwy nadzwyczajnego zjawiska. Przed laty kilkunastu stosunki pod tym względem były prawdziwie opłakane. Galicya tak uboga nawet w miasta, że tak powiemy, nominalne t. j. różniące się od wsi jedynie pretensyonalną nazwą urzędową, była prawdziwą pustynią, w której człowiek z wyższą inteligencyą żadną miarą nie mógł się zaaklimatyzować, jeżeli nie miał skłonności do formalnego zdziczenia. Wtedy Galicya była jeszcze zalaną niemieckimi biórokratami i ci nazwali ją „krajem niedźwiedzim“. Ten niepochlebny epitet raził nas bardzo, ale tylko dla tego, że pochodził od ludzi, którzy dla miłego grosza porzucili własny piękniejszy kraj i żyjąc naszym chlebem, nie umieli być jeżeli już niewdzięcznymi to przynajmniej przyzwoitymi gośćmi. Alę kto wychylił nos po za Galicyę i patrzył na nasze stosunki bezstronnie nie mógł danego Galicyi przezwiska nazywać oszczerstwem lub kłamstwem. Wyobraźmy sobie bowiem położenie takiego Czecha lub Niemca, który wyjeżdżając z domu do Galicyi był pewnym że ma się osiedlić w mieście, a tymczasem zajechał w błotnisty rynek okolony szeregiem drewnianych domków często słomą pokrytych, jednem słowem w miejscowość, która za granicą mogłaby zaliczać się zaledwie do rzędu wsi drugorzędnych. Było to miasto nominalne, pozbawione przyjemnych stron zacisza wiejskiego a natomiast nie dostarczające mieszkańcowi żadnych wygód i korzyści życia miejskiego. Kilka miast zwanych obwodowemi, co nadawało im charakter bardzo arystokratyczny w rzędzie kolegów, nie o wiele różniło się od miasteczek a chyba tylko cyfra ludności nadawała im prawo do nazwy miast drugorzędnych w kraju. Posiadały one już wprawdzie więcej pomieszkań przyzwoitych, miały obok nędznych kramików kilka sklepów, dbały o karki swoich mieszkańców przy ich mimowolnej przechadzce po ulicach w czasie niepogody, ale mimo to wszystko i tutaj człowiek przyzwyczajony do życia towarzyskiego mógł umrzeć z nudów a kto chciał zaznajamiać się prędko z nowościami literackiemi i naukowemi, mógł umrzeć z niecierpliwości. Księgarz bowiem takiego drugorzędnego miasta Galicyjskiego uważający książki tylko za artykuł potoczny a przywiązujący główną wagę do sprzedaży papieru, atramentu, świec anilowych i t. d., sprowadzał książki po roku i tylko takie, o które zgłosiło się już dość osób, ażeby mógł ściągnąć od nich koszta transportu i zysk przedsiębierczy. Kto sprowadzał sobie wprost ze Lwowa lub Krakowa albo posiadał już znaczniejszą biblijotekę, uchodził w oczach ogółu za szlachetnego dziwaka, mającego za dużo pieniędzy. Dzienniki polityczne były wprawdzie zawsze czytane, ale liczba prenumeratorów nie była nigdy równą liczbie urzędników i w ogóle mieszkańców posiadających taki stopień inteligencyi, przy którym niepodobna obejść się dziś bez tej codziennej przekąski literacko-politycznej. Pocztmistrz naruszał cudzą własność, bo nie tylko sam czytał cudze egzemplarze dzienników, lecz nadto protekcyjnie obdzielał niemi znajomych. W ten sposób krzewił się na prowincyi dotychczas niewytępiony jeszcze wstręt do opłacania prenumeraty, która uchodziła i uchodzi za wydatek lekkomyślny. O dzienniki polityczne upominał się prenumerator codziennie, więc pocztmistrz nie mógł

obdzielać niemi szerokiego koła pasożytów. Za to swobodnie gospodarował sobie z pismami literackiemi, które wychodziły raz na tydzień lub na dwa tygodnie. Biedny prenumerator musiał czekać cierpliwie, dopóki na samym końcu nie przyszła na niego kolej czytania. Dla miłej zgody z tak ważną figurą jaką w mieście prowincyonalnem był i jest pan pocztmistrz, trzeba się było zadowolić egzemplarzem kilka dni zatrzymanym a nadto zatłuszczonym i zasmarowanym w kilkunastu rękach. Niepotrzeba dodawać, że takie nadużycia pocztmistrzów nie mało przyczyniały, a jeszcze i teraz mimo znacznie ulepszonych stosunków, przyczyniają się do rychłego upadku tylu pism literackich dla braku prenumeratorów.

Dziś fizyognomija miast prowincyonalnych zmieniła się znakomicie. Niektóre miasteczka trzeciorzędne dorównały już dawnym obwodowym a te znowu podniosły się o jeden szczebel wyżej. Wzrastająca komplikacya stosunków społecznych wzbogaciła prowincyę nowemi żywiołami inteligencyi, obudziła tam nowe potrzeby, których zaspokojenie ułatwiły koleje żelazne i ulepszona komunikacya innego rodzaju, bez których dawniej bezpośrednie zetknięcie się z ogniskami społecznemi, należało do rzędu śmiałych wypraw podróżniczych. Miasteczka nasze mają dziś po większej części kasyna i czytelnie, które członkom dostarczają różnorodnej lektury dziennikarskiej i literackiej, a nadto zabawami, wieczorkami i rozrywkami innego rodzaju, pielęgnują tak zaniedbane u nas pożycie towarzyskie. Liczba księgarń i drukarń prowincyonalnych jest znaczniejszą a wydawnictwa prowincyonalne nie są już białemi krukami. Dawniej kantyczka lub sennik wyczerpywały cały zmysł przedsiębierczy nakładców i drukarzy na prowincyi, a jeżeli który z nich zdobył się na książeczkę do modlenia, to już mu za ciasno było w murach kilkunastotysięcznego grodu, już rwał się do stolicy.

Dziś dość często spotkać się można z firmą prowincyonalną na rozprawie historycznej, na tomiku poezyi lub powiastce. W dwóch ostatnich latach miała prowincya nawet własnych prelegentów, a choć to śmiałe naśladownictwo stolicy nie przyjmuje się rychło i wszędzie, zawsze stanowi objaw silniej bijącego tętna umysłowego życia. Czy teatralnym trupom wędrownym lepiej się teraz wiedzie niż dawniej, tego już nie wiemy? Liczba ich nie wzrosła a jak się nam zdaje nie złagodniały także narzekania recenzentów małomiasteczkowych na obojętność publiczności, która nie chce zapełnić nawet kilkunastu przedstawień. Dawniej trupy wędrowne zasilały stołeczne sceny, a mógłbym na każde zawołanie wymienić kilka głośnych dziś, nawet uwielbianych sił artystycznych, które długi czas zadawalały się skromną, improwizowaną sceną prowincyonalną i garstką publiczności. Mamy już dziś wreszcie i prasę prowincyonalną! Postęp to niezmierny, jeżeli myślą cofniemy się o kilkanaście lat wstecz. Nie trzeba tylko brać tego wyrazu „prasa prowincyonalna" w takiem znaczeniu, jakie on ma za granicą, w krajach najwyżej rozwiniętych. Tam prasa prowincyonalna jest pod każdym względem potęgą prawie równorzędną stołecznej prasie, u nas zaś organa prowincyi można na palcach policzyć i mimo to obie ręce wystarczyłyby jeszcze, ażeby za jednym zachodem policzyć także, ile lat istnieją i ile łamów zawierają. Obecnie dwa miasta prowincyonalne posiadają swoje organa: Stanisławów i Tarnów, dwaj współzawodnicy o tytuł trzeciego po Lwowie i Krakowie miasta galicyjskiego. W Stanisławowie wydawnictwo, redaktor i tytuł zmieniają się co chwila, co nie dobrze wróży o żywotności dziennika. Ale mimo to, od dwóch lat posiada Stanisławów własny organ i odgraża się, że nigdy nie da mu upaść. W Tarnowie wychodzi Dzwonek, niegdyś bardzo popularne i pożyteczne pismo ludowe, we Lwowie wydawane, a dziś dzienniczek mający pretensyę do stanowiska organu politycznego i kierownika małomiejskiej opinji publicznej. Już to szczerze mówiąc nie ma się co chwalić naszą prasą prowincyonalną. Jak dziś rzeczy stoją nie widzimy ani potrzeby ani celu tych wydawnictw i mniemamy, że daleko rozumniej zamanipulowałaby inteligencya prowincyonalna swój wzrost i postęp, gdyby nie pozwalała upadać wydawnictwom lwowskim i krakowskim. Właśnie teraz upadło pismo krakowskie p. t. Szkice literackie i społeczne. Dla zamaskowania upadku powiedziano wprawdzie, że Szkice zlewają się właściwie z lwowskim Ruchem literackim, ale nie wiemy, komu tem chciano oczy zamydlić, skoro wiadomo powszechnie, że i Ruch literacki goni resztkami sił. Ten sojusz pisma lwowskiego z krakowskiem przypomina nam z finansowej strony żywo, mówiąc mimochodem, bajkę o ślepym, któremu zachciało się nieść kulawego!

Ale wracamy do Stanisławowa i Tarnowa, bo jeszcze nie wyczerpnęliśmy tematu o miastach prowincyonalnych. Stanisławów rywalizuje bardzo skutecznie z Tarnowem i dziś może już nikt nie odmówi mu pierwszego miejsca po Lwowie i Krakowie.

W jednej z dawniejszych korespondencyi wspomniałem, że miasto to przed ośmiu laty do szczętu spalone, podźwignęło się znakomicie dzięki niezmordowanemu burmistrzowi dr. Kamińskiemu, który pożyczkę miejską pod korzystnemi warunkami zaciągniętą, nietylko umożliwił biednym pogorzelcom odbudowanie domów, lecz nadto nakłonił gminę do wybudowania pięknych gmachów na cele szkolne, i zaprowadzenia oświetlenia gazowego. Tem oświetleniem góruje Stanisławów nad innemi miastami galicyjskiemi, z których kilka chce teraz wstąpić w jego ślady. W ubiegłym roku Stanisławów urządził u siebie bardzo piękną wystawę rolniczo-przemysłową i wywiązał się znakomicie z roli gospodarza. Jeżeli Lwów który w przyszłym roku urządza taką wystawę u siebie wywiąże się z swojego zadania stosunkowo z równą zręcznością, to wystawa lwowska powinnaby stanąć na równi z warszawską z r. 1874. O tej wystawie zastrzegam sobie głos na później, gdyż będę mógł podać bliższe szczegóły i dyspozycye komitetu urządzającego, który jeszcze nie wybrał nawet placu wystawowego. Do rozbudzenia życia umysłowego w miastach prowincyonalnych, przyczynia się znacznie towarzystwo pedagogiczne swojemi dorocznemi zgromadzeniami walnemi. Towarzystwo to, jedno z najżywotniejszych i najpożyteczniejszych w Galicyi, urządza takie zgromadzenia corocznie w innem mieście. W ubiegłym roku był Stanisławów punktem zbornym, a w tym roku zjazd ten spotkał Sambor. Zjazd tegoroczny pedagogów był tak liczny jak poprzedni a na porządku dziennym znajdowały się obok spraw administracyjnych także zajmujące odczyty. Wspominając o odczytach podajemy przynajmniej tytuły: „Pogląd na rozwój gimnazyów żeńskich w naszym kraju i ich stosunki do szkół wydziałowych żeńskich" (prelegent Bolesław Baranowski); „Okazanie sposobu uzmysławiania nauki rachunków tak pamięciowych jak i piśmiennych liczbami całkowitemi i dziesiętnemi" (prelegent Michał Kopeć); „Sprawa przeciążenia uczniów w szkołach średnich" (prel. dr. Zygmunt Samolewicz); „Sprawa klasy przygotowawczej do szkół średnich" (prel. dr. Teofil Gerstman); „Nauka geografji fizycznej w szkołach początkowych, a nowe plany wydane dla tych szkół" (prel. dr. Józef Żuliński); „Sprawa stanowiska suplentów i sprawa seminaryów nauczycielskich dla szkół średnich" (prelegent Józef Soleski).

(d. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

W Grudniu roku bieżącego ukaże się utwór poetyczny Adama Pługa, p. t. **Sroczka**, obrazek zaściankowy. Wydanie to, podjęte nakładem autora, będzie bardzo ozdobne, z dziesięciu illustracyami W. Gersona, w formacie wielkiej ćwiartki na welinie, wynoszące, prócz drzeworytów, blizko osiem arkuszy druku we dwie szpalty. Cena egzemplarza, oprawnego w płótno angielskie, z brzegami złoconemi, oraz takiemiż wyciskami na okładce, ustanawia się na sześć rubli w handlu księgarskim, prócz przesyłki pocztowej. Ci zaś którzy z góry złożą przedpłatę w redakcyi pism naszych Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci, otrzymują to dzieło za pięć rubli, nie ponosząc kosztów przesyłki. O wartości samej pracy Autora nie będziemy się zbytecznie rozwodzić: znana ona z poprzedniego wydania. Przez opiniją publiczną jak i krytykę poemat ten uznany został za arcydzieło w granicach mu odpowiednich, tak pod względem treści i jej przeprowadzenia, jak i formy utrzymanej bez zmiany w wysokim nastroju poetycznym. Powtórne to wydawnictwo w ustępie czasu nie zbyt wielkiego, okaże się w wytwornej niezmiernie sukience, aby z nadchodzącą Gwiazdką mogło służyć za piękny podarunek i zarazem na ozdobę każdego salonu.

Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej, nakładem współki księgarzy w Warszawie wyszedł tom VII i zawiera skrócone Pismo święte wybrane z ksiąg starego i nowego zakonu, a mianowicie: Stary Zakon i Nowy Zakon, Dzieje albo sprawy apostolskie. Prenumerata na całe dzieło wynosi rs. 16, która częściowo może być uskuteczniana przy odbiorze każdego tomu. Dotąd wyszło tomów siedm.

Przyjaciela Dzieci Nr 40 wyszedł z druku i zawiera:

Opowiadania starca. — Czarny Sokół (ciąg dalszy). — Mieszkania leśne nad Spreą (z drzeworytem). — Pionierowie w Kolumbji (z drzeworytem). — Czyny naucząjące. Z wiadomości bieżących — w Dodatku: Na dworskim chlebie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

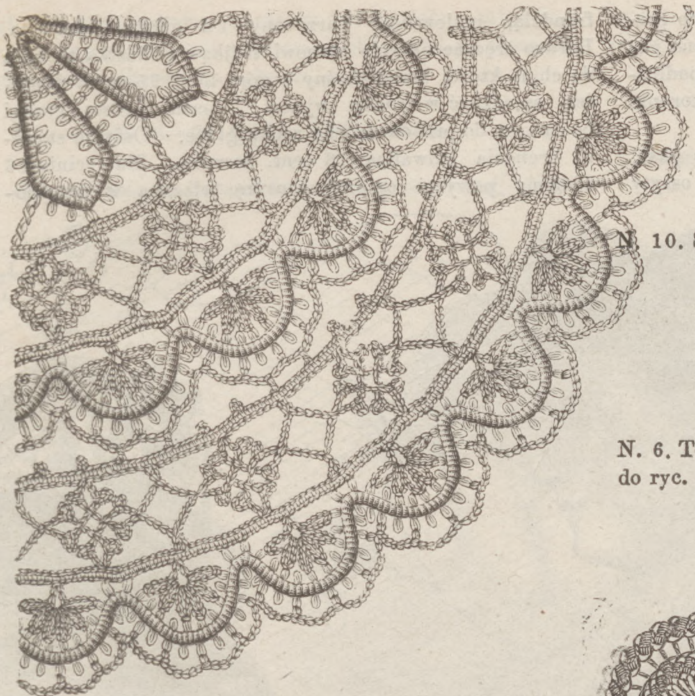
Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

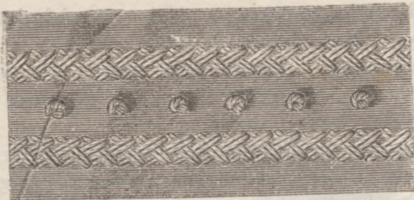


ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Сентября 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.



N. 1. Czwarta część patarafki ryc. 2. Wielkość naturalna, robota szydełkowa i mignardisse.



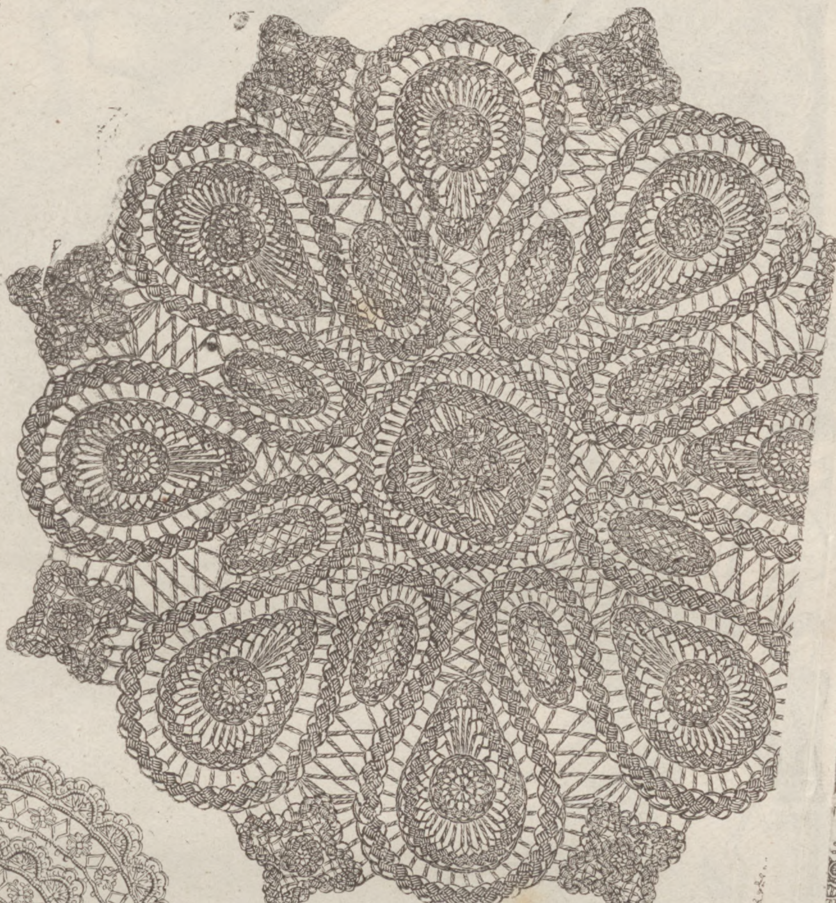
N. 10. Szlaczek wyszyty supełkami i ściegiem krzyżowanym, do ryc. 9.



N. 6. Torsadka z sześciu dwa razy nawijanemi słupkami, do ryc. 5.



N. 3. Czwarta część patarafki albo przykrycia na poduszeczkę. Wielkość naturalna, robota szydełkowa, mignardisse i tasiemeczka medaljonowa.



N. 5. Serwetka na toaletę albo do mebli. Robota szydełkowa i torsadka robiona na widełkach; próbka torsadki ryc. 6.

Opis do N. 40.

N. 5—6. Okrągła serwetka. Torsadka robotą szydełkową na widełkach. Materyał: bawełna kręta N. 50.

Torsadka przerabiana szydełkiem na widełkach, wykończona w trojakiej szerokości (t. j. o. 6 pod. sł., 4 sł. i 4 o. śc. na przewiązanie) tworzy kontury deseniu w serwetce mającej 36 cent. średnicy. Deseń układa się wyliczając odpowiednio ząbki torsadki, która łączy się następnie za pomocą słupków różnej długości i o. pow. Najszerszą torsadką przerabianą 6 pod. sł. przedstawia ryc. 6, użyta jest na wielkie zęby w zagłębieniu których umieszczają się oddzielne rozety i na czworokątne otoczenie środkowej gwiazdki. Z węższej 4 sł. przerabianej torsadki dana gwiazdka środkowa, rozety zapełniające zęby, małe gwiazdki brzeżne, owale i okrąg otaczający środek serwetki. Najwęższa użyta jest na środ-



N. 8. Fartuszek z napierśnikiem.



N. 7. Szafka na listy i materyały piśmienne, robota nakrapiana i malowanie.

ki do rozet. Spajanie rozet i zębów wskazuje ryc. 5.

N. 7. Szafka na przybory do pisania, listy i t. p. Malowanie i robota nakrapiana.

Osoby umiejące wyrzynać z drzewa różne drobne przedmioty, ramki i t. p. mogą szafkę taką przygotować własnoręcznie, w przeciwnym razie trzeba kupić gotową a tylko przyozdobienie dopełnić własnym gustem. Najlepiej nadaje się tu malowanie i nakrapianie na drzewie, deseń przenosi się na drzewo zapomocą papieru używanego do kalkowania, który od spodu mocno się szyfruje lub pociąga węglem, poczem goździkami przybija do drzewa a zwierzchu prowadzi po deseniu twardym ołówkiem lub pręcikiem. Mając odznaczone kontury dopełnia się malowania podług niejednokrotnie podawanych już przepisów, których nie będziemy dziś powtarzać. Dodamy tylko że do naśladowania różnych odmian drzewa, trzeba różne mieszać farby i tak: mahoń imituje się mieszając paloną terra-



N. 4. Patarafka na toaletę, albo przykrycie na poduszeczkę. Zobaczyć część czwartą ryc. 3.



N. 9. Fartuszek ogrodowy z płótna szarego. Szlaczek do przyozdobienia fartuszka ryc. 10.

siennę i paloną sepję z dodaniem trochę karminu i brązowej farby (Wandyk); drzewo orzechowe wymaga mieszaniny niepalonej sepji, kobaltu, żółtej indyjskiej i trochę karminu.

N. 8. Fartuszek z napierśnikiem przybrany torsadką na widełkach.

Przykrojony podług zwykłej kliniastej formy, złożonej z trzech części, zdobny jest wszywką i oszyciem z torsadki na widełkach. Brzegi trochę u dołu zaokrąglone obejmują się listewką lub wązko obrębiają. Napierśnik składa się z części środkowej 14 cent. długiej, 11 u góry a 2 u dołu szerokiej i z dwóch klinów bocznych po 22 cent. długich, w górze 6 u dołu 3 cent. szerokich. Każda część fartuszka obrąbiona wązko łączy się z drugą przez wszycie torsadki. Falbaneczka otaczająca brzegi jest 3 cent. szeroka.

N. 9—10. Fartuszek ogrodowy z szarego płótna.

Dla czytelniczek mieszkających na wsi i zajmujących się z zamiłowaniem ogrodem, podaliśmy model fartuszka bardzo dogodnego i praktycznego w porze zbierania nasion, któremi zapełnić można kilka kieszonek, w jakie zaopatrzony jest fartuszek. Za materyał najodpowiedniejsze jest mocne szare płótno; na fartuszek potrzeba kawałka 57 cent. szerokiego o 82 cent. długiego który u dołu zakłada się na 32 cent., założenie zaszywa z boków i przedziela na trzy kieszonki podwójnemi szwami, przykrytemi następnie szlaczkiem. Na 36 cent. od dołu a 6 od bocznego brzegu przyszyte są górne kieszonki po 13 cent. szerokie a 12 długie. Wełniana kolorowa tasiemka obejmuje brzegi fartuszka, górny brzeg kieszonek i pasek 4 cent. szeroki a 26 długi. Szlaczek służący do przyozdobienia przedstawia ryc. 10.

N. 11—12. Modele kapeluszy, chustki i zarzutki.

Na wielkiej rycinie zajmującej środek dzisiejszego numeru podaliśmy modele kapeluszy, zarzutek i chustek. Pierwszych nie będziemy opisywać szczegółowo, bo każdy z przedstawionych fasonów da się z łatwością ubrać podług ryciny. Co do chustek to można powiedzieć iż w obecnej chwili „chustka" stała się hasłem mody. Noszą je z rozmaitych materyałów, w różnej wielkości i formie: trójkątne, kwadratowe, z końcami zaokrąglonemi lub ściegiem szpiczasto, więcej lub mniej odłożonemi; małe chusteczki stanowią lekkie zarzutki dopełniające bardzo gustownie toaletę. Na ryc. 11 widzimy zarzutkę z grubego kordonku koloru ivoire (kość słoniowa), zakończoną frendzlą 12 cent. szeroką; można wiązać ją lekko na piersiach lub krzyżować z przodu. Zarzutki takie zarówno odpowiednie w domu lub na wizycie, mogą stanowić dopełnienie spacerowego ubrania. Robota siatkowa daje się zastosować przy frendzli do chusteczek krepowych lub kaszmirowych i rywalizuje z frendzlą wiązaną, która jest niezmiernie pracowitą. Rycina 15 przedstawia śliczną zarzutkę z krepy jedwabnej, zakończoną muślinowem plisowaniem i koronką zapiętą na piersiach kokardą.

Dla osób starszych modne są chustki szalowe jak na ryc. 12; model ten odrobiony z miękkiego czarnego kaszmiru wymaga kawałka zupełnie prostego w górze 220 cent. długiego, od dołu ściętego skośnie w ten sposób iż w środku liczy 47 cent. szerokości a końce są prawie spiczaste. Bogata frendzla jedwabna 25 cent. szeroka zakończa brzeg dolny, po nad którym idzie wspaniały haft lub pasmanterya. Koronkowa chustka (ryc. 13) stosowna jest dla pań starszych i dla młodych, składa ją trochę podłużny 118 cent. szeroki a 108 długi kwadrat z koronki hiszpańskiej czarnej lub ivoire.

Rycina 14 przedstawia szal rzymski w kolorowe pasy, 150 cent. długi a 54 szeroki, z wązkich brzegów oszyty frendzlą, malowniczo zarzucony na głowę i ramiona. Bardzo zręczne okrycie stanowi trójkątna chustka z crêpe de chine której brzeg skośny u góry liczy 96 cent. długości; szerokość w środku wynosi 77 cent.; proste brzegi boczne są do przodu trochę zaokrąglone. Oszycie stanowi frendzla jedwabna 18 cent. szeroka. Na rycinie 16 widzimy powyżej opisaną chustkę włożoną w ten sposób, iż brzeg skośny obrócony jest do dołu a ząb górny wyłożony jest nakształt ranwersu w około szyi; na piersiach spina chusteczkę wielka kokarda.



N. 12. Chustka szalowa z kaszmiru oszyta frendzlą wiązaną. Kapelusz czarny koronkowy z różami.

N. Kapelusz okrągły bastowy zdobny wielkim piórem.

N. 20. Kapelusz czarny zdobny girlandą z bluszczu.

N. 11. Chusteczka siatkowa.

N. 13. Chustka koronkowa. Kapelusz z rondem podpiętem z boku.

N. 22. Parasolik czarny jedwabny oszyty koronką i muślinowem plisowaniem.

N. 17. Chustka kaszmirowa z koronką wiązaną.

N. 14. Szal rzymski.

N. 15. Zarzutka z krepy jedwabnej.

N. 16. Chustka trójkątna z crêpe de chine.

N. 19. Kapelusz z grubej słomy zdobny kokardą różami i piórem.

N. 21. Krawatka z wstążki przerabianej ażurowo.

N. 23—24. Ząbki. Haft madera.

Odpowiednie do fartuszków, sukienek dla dzieci, bielizny i t. p. mogą być odrobione na perkalu, batyście lub płótnie.

N. 25. Koronka do sukien letnich.

Deseń przyfastrygowywa się na ceracie i podług niego naszywa mignardisę, która łączy się między sobą nitkami przewijanemi i pajączkami.

N. 26. Kieszonka do sukien.

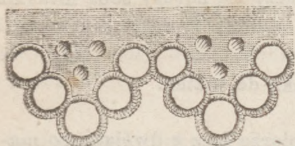
Wykończona w jednym kolorze lecz z dwojakiego materyału: wełnianego i materyi jedwabnej. Podstawę stanowi kawałek sztywnego tiulu, zaokrąglony podług ryc. 26 i pokryty materyą na którym układa się fałdowanie z materyału wełnianego, przestębnowane 4 razy. Przyozdobienie stanowi kokarda spuszczona u dołu kieszonki i frendzla otaczająca brzegi.

N. 27. Negliżyk.

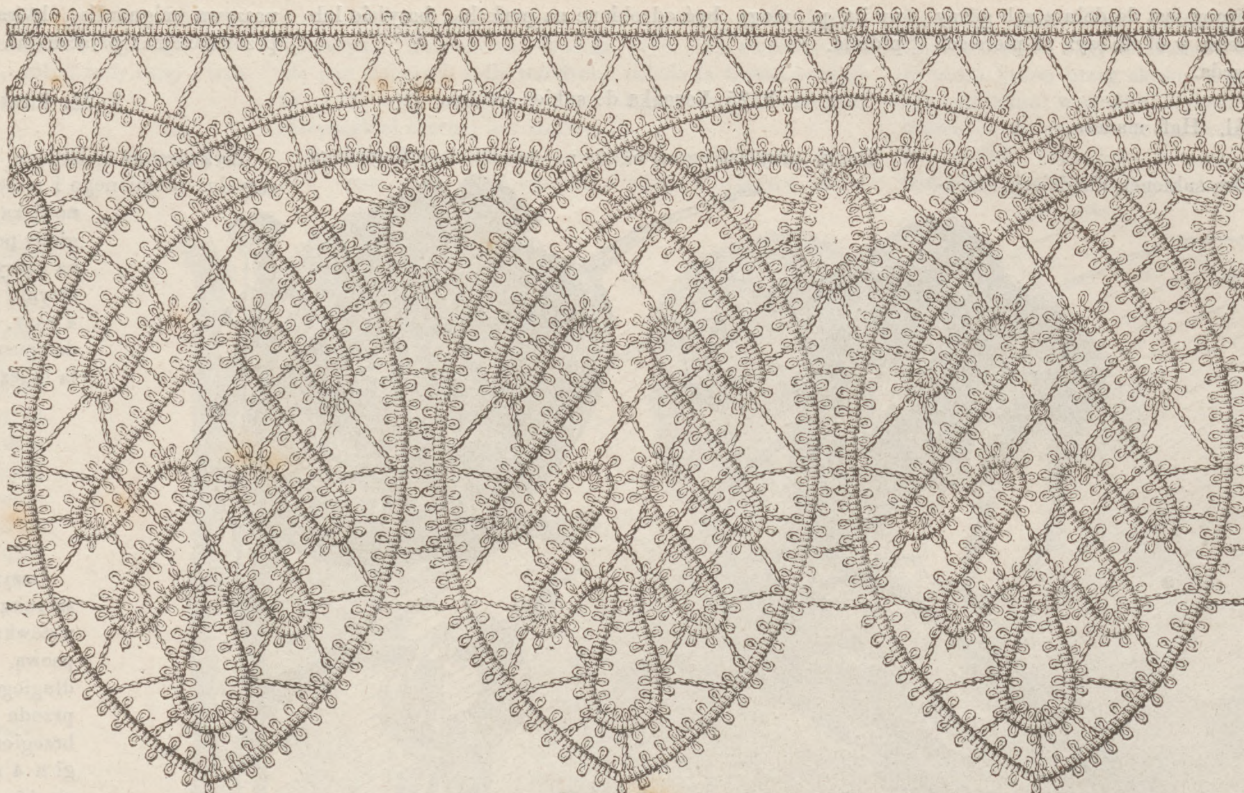
Uszyty z muślinu, zdobny 2 cent. szeroką walansjenką, 4 cent. szeroką wstawką i 5 cent. szeroką wstążką repsową. Denko wymaga owalu 30 cent. długiego a 25 szerokiego, który z przodu i z tyłu złożony jest w fałdy, brzegiem wszyty w pasek 48 cent. długi a 4 szeroki. Plisowanie muślinowe 10 cent. szerokie przysłania pasek. Końce związane z tyłu zdobne szeroką wstawką i koronką liczą po 28 cent. długości a 12 szerokości.

N. 28—41 i ryc. 14 w przesz. N-rze. Teka do nut. **Haft** złotem lub srebrem.

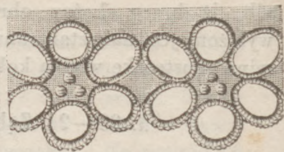
Haft złotem i srebrem podobny jest sposobem wykonania do haftu atłaskiem, zachodzi jednak różnica z powodu kruchości materyału w robocie złotem i srebrem. Załączając na ryc. 28 medaljon haftowany złotem służący do przyozdobienia stojącej teki do nut, podajemy zarazem opis roboty objaśniając ją rycinami. Materyał jednakowy jest w złocie lub srebrze, składa on się z bajorku różnej grubości, gładkiego matowego, gładkiego świecącego lub kręconego, z cieniutkiego sznureczka i blaszek. Różnej grubości nitki srebrne i złote i blaszki używają się do haftu grubszego, przy którym niezbędne są drobne przybory oprócz nożyczek. Przedewszystkiem potrzeba mieć małe krosienka w których rozpina się materyał; z jednej strony przybita jest mocna taśma do której przyszywa się brzegiem materyał użyty na tło (np. aksamit, sukno, safjan, reps jedwabny lub wełniany) podszyty mocnem płótnem lub szyrtyngiem. Podszewka powinna wystawać naokoło tła na 2—3 cent. Po przyszyciu roboty do taśmy, trzeba ją z trzech innych stron rozciągnąć równo za pomocą sznurowania, jak to wskazuje ryc. 29. Deseń odznacza się bez wywodzenia tylko za pomocą szablonu, miałkiej kredki lub blejwasu, zważając aby linje odznaczały się delikatnie. Zabierając się do haftu potrzeba oprzeć krosienka dwoma końcami i przycisnąć czemkolwiek żeby się nie usuwały. Ręka lewa trzyma się od spodu dla pociągania igieł i wkładania ich na wierzch tak jak w robocie krzyżowej. Jak to widać na ryc. 14 w N-rze 39 arabeski i koronki wyszyte są sznureczkiem złotym; przyszywanie sznureczka należy do najłatwiejszych części roboty, dopełnia się cieniutką nitką srebrną i złotą, wkładając igłę między skręty sznureczka, podług ryc. 30; końce sznureczka przeciągają się przez tło pod spód i zakończają. Listki, kwiaty i muszki wyszywane są bajorkiem. Ładny ten materyał, którego odmiany opisaliśmy na początku, skoro ma być użyty do haftu tnie się na krótsze lub dłuższe kawałeczki, nawłóczy na nitkę nakształt perełek i przyszywa. Kilka kawałków bajorku składa się równo i przekrawa na różne części jak na ryc. 31, poczem trzeba zebra je w pudełeczko a nigdy nie trzymać na flaneli lub t. p. ostrych materyałach, gdyż one wycierają bajorek. Jakkolwiek kontury deseniu nie wywodzą się wcale, potrze-



N. 23. Ząbki. Haft madera.



N. 25. Koronka z mignardise. Do sukien letnich.



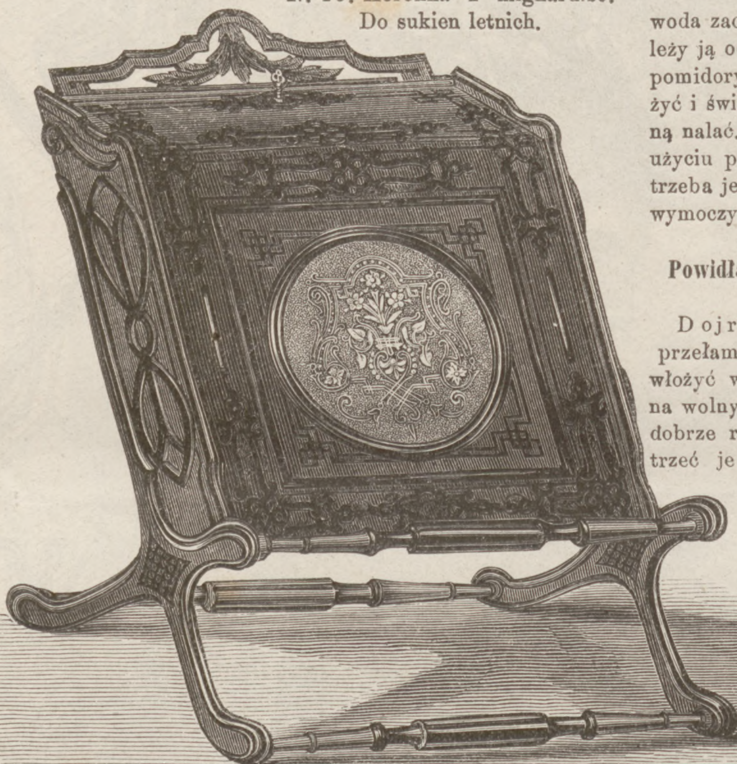
N. 24. Ząbki. Haft madera.

ba jednak dla cieniowania i dobrego odznaczenia się haftu podkładać grubą we dwoje złożoną bawełnę N. 20, przeprowadzaną w długich ściegach mijających się lub krzyżujących z sobą, odpowiednio do form deseniu jak to widać na ryc. 34—39, potrzeba tylko nadmienić że ściegi zwierzchu długie od spodu przeciągają się jak najkrócej, tuż przy sobie. Podkładanie waty lub tektury nadaje się tylko przy wielkich deseniach.

Robotę małych punkcików objaśnia ryc. 32, większe wyszywają się podług ryc. 33; środeczek w nich zajmuje maleński kawałek bajorku a na otoczenie potrzeba sporego kawałka, który odrazu nawłóczy się na nitkę i przytwierdza w paru miejscach poprzecznemi ściegami. Większe muszki wymagają już staranniejszej roboty, ażeby kółeczko było foremne; tutaj potrzeba dla wypukłości dać podłożenie z kilku ściegów (patrz ryc. 34). Listki długie, śpiczaste odrabiają się podług ryc. 35; wyszywając potrzeba stawiać ściegi od siebie, nie zaś do siebie. Inne odmiany podkładania bawełną i wyszycia bajorkiem wskazują na ryc. 36—41 i podpisy zamieszczone pod niemi.



N. 26. Kieszonka do sukien.



N. 28. Teka stojąca do nót. Medaljon haftowany złotem. Patrz ryc. 29—41 i ryc. 14 w N. 39.

Przepisy kuchenne.

Pomidory.

Wybrać dojrzałe, ułożyć w słój i nalać zasoloną wodą, to jest: do kwarty wody wziąść łyżkę soli kuchennej z czubem, przegotować i zastudzić, a tak zasoloną wodą nalać pomidory, nacisnąć denkiem, żeby nie spływały i żeby woda nad niemi stała. Gdy po niejakim czasie woda zacznie pleśnić, należy ją odlać, słój wymyć, pomidory napowrót ułożyć i świeżą wodą zasoloną nalać. Gdyby się przy użyciu pokazały za słone, trzeba je w zimnej wodzie wymoczyć.

Powidła z pomidorów.

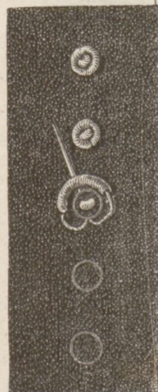
Dojrzałe pomidory przełamać na połowę, włożyć w rądel i wstawić na wolnym ogniu: gdy się dobrze rozpuszczą, przetrzeć je przez sito i powtórnie smażyć aż do gęstości: potem albo je przechować w słoikach albo też rozpostrzeć na blachach oliwą posmarowanych, w cienkich plasterkach i po chlebie w piecu ususzyć: takie plasterki składać i również w słoikach chować.



N. 27. Negliżyk muślinowy.



N. 40. Wykonanie środeczka do kwiata do ryc. 14. w N. 39.



N. 33. Wyszycie większych muszek do ryc. 14. w N. 39.



N. 32. Wyszycie małych punkcików bajorkiem, do ryc. 14 w N. 39.



N. 31. Dzielenie bajorku do haftu złotem lub srebrem. Patrz ryc. 29—41.



N. 29. Krosienka do haftu złotem.



N. 34. Wyszycie kółek bajorkiem. Do ryc. 14 w N. 39.



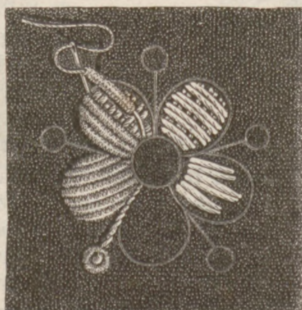
N. 14. Wyszycie środeczka do kwiata.



N. 30. Przyszywanie sznureczka złotego. Do ryc. 14. w N. 39.



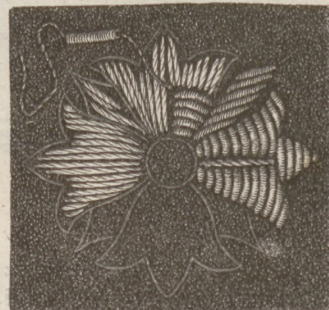
N. 34. Wyszycie bajorkiem prostych listków, do ryc. 14 w N. 39.



N. 37. Wyszycie kwiatka ściegami prostemi, do ryc. 14 w N. 39.



N. 38. Wyszycie listków szerokich podkładanych wypukło. Do ryc. 14 w N. 39.



N. 39. Wyszycie kwiatka prostemi i skośnemi ściegami. Do ryc. 14. w N. 39.



N. 36. Wykonanie zaokrąglonego liścia. Do ryc. 14 w N. 39.